

KSIĘGA III

(1728 — 1731). Wyszedłszy z domu pani de Vercellis mniej więcej tak jak do niego wstąpiłem, wróciłem do dawnej gospodyni i przebyłem tam jakieś pięć czy sześć tygodni. Zdrowie, młodość i beczynność sprawiły iż, w tym okresie, zmysły dopiekały mi nieraz. Byłem niespokojny, roztargniony, zadumany; płakałem, wzdychałem, pożałowałem szczęścia, o którym nie miałem jasnego wyobrażenia a którego brak dawał mi się we znaki. Niepodobna opisać tego stanu; niewielu mężczyzn może go sobie nawet wyobrazić, ponieważ większość uprzędziła ten nadmiar życia, pełen rozkoszy wraz z udręki, który, w gorączce pożądania, daje niejako przedsmak użycia. Kipiąca krew zaludniała nieustannie mózg mój obrazami dziewcząt i kobiet: ale, nieświadom ich rzeczywistego przeznaczenia, wrzęgałem je w myślach w swoje chorobliwe fantazje, ograniczając do tego swe wybuchy żądz. Majaki te utrzymywały moje zmysły w nader kłopotliwym stanie ciągłego pobudzenia, od którego, na szczęście, nie nauczyły mnie jak się uwalniać. Byłbym oddał życie za kwadransik spędzony przy pannie Goton. Ale minął już czas owych igraszek dziecięcych. Wstydlivość, towarzyska świadomości złego, przyszła z wiekiem; ona to wzmogła wrodzoną nieśmiałość, czyniąc ją wprost nie do zwyciężenia. Nigdy, ani wówczas ani później, nie mogłem się zdobyć na nieskromną propozycję, o ile partnerka nie zmusiła mnie poniekąd wychodząc naprzeciw moich życzeń; choćbym nawet wiedział z pewnością, że nie ma na tym punkcie skrupułów i że zrozumie mnie w pół słowa.

Niepokój mój wzrósł do tego stopnia, iż, niemożąc zadowolić

swych pragnień, drażniłem je zapomocą najosobliwszych wymysłów. Szukałem ciemnych alej, ustronnych zakamarków, w których mógłbym się zdała pokazywać osobom płci odmiennej w stanie w jakim chciałbym się znaleźć przy ich boku. Ale to, co nastroczało się ich spojrzeniom, była to raczej komiczna niż sprośna strona medalu: tamto nie przychodziło mi nawet na myśl. Trudno opisać głupią przyjemność jakiej doznawałem, wystawiając się tak ich oczom. Od tego, do upragnionego zaspokojenia, był tylko jeden krok; nie wątpię też, że jakaś osoba rezolutniejszej natury byłaby mimochodem ziściła me chęci, gdybym miał odwagę czekać na to. Manja ta pociągnęła za sobą katastrofę niemal równie komiczną, ale mniej dla mnie zabawną.

Jednego dnia, przycisłem się w jakimś dziedzińcu, gdzie znajdowała się studnia, dokąd dziewczęta chodziły często po wodę. Opodal były drzwiczki, któremi schodziło się do piwnic. Zgłębiłem w ciemności te podziemne chodniki, a przekonawszy się, że są długie i ciemne, sądziłem że są wogóle bez końca, i że, gdyby mnie ujrzano i zaskoczono, znalazłbym tam pewne schronienie. Ufny w to, ukazałem dziewczętom, które szły do studni, ów ulubiony mi obraz, bardziej dla nich pocieszny niż kuszący. Najrozsądniejsze udały że nic nie widzą; inne zaczęły się śmiać; inne wzięły to za obrazę i podniosły *larum*. Cofnąłem się do mego schronienia; podążono za mną. Usłyszano głos męski, na który nie byłem przygotowany i który mnie przeraził. Zapuszczałem się coraz dalej w podziemia, narażając się na zabłądzenie: hałasy, okrzyki, męski głos, szły ciągle w moje tropy. Liczyłem na ciemność, nagle ujrzałem światło. Zadrzałem, zapuściłem się dalej jeszcze. Natknąłem się wreszcie na gładką ścianę; nie mogąc iść dalej, musiałem oczekiwać swego losu. W jednej chwili dosięgnął mnie i pochwylił duży mężczyzna o dużym wąsie, dużym kapeluszu, dużej szabli, eskortowany przez kilka starych bab, zbrojnych w miotły. Pomiedzy niemi ujrzałem ową małą hultajkę, która mnie wysłedziła i która zapewne chciała mi spojrzeć w oczy.

Mężczyzna z szablą chwycił mnie za ramię i spytał szorstko co tu robisz. Łatwo pojąć, że nie miałem przygotowanej odpowiedzi. Opamiętałem się wszakże, i, w nerwowem podnieceniu, znalazłem romantyczny środek ocalenia, który mi się powiódł w zupełności. Zwracając się doń błagalnie, prosiłem, aby miał litość nad moim wiekiem i stanem; że jestem młodym cudzoziemcem wysokiego rodu który ma umysł niezupełnie w porządku; wymknąłem się z domu, ponieważ chciano mnie zamknąć; byłbym zgubiony gdyby mnie zdradził; ale, jeśli raczy mnie puścić wolno, może kiedyś potrafię mu się odwdziżyć. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, bajeczka moja i żałośliwa mina zrobiły wrażenie: straszliwy człowiek dał się wzruszyć i, po dość krótkiem napomnieniu, pozwolił mi odejść spokojnie, nie pytając więcej. Po minie, z jaką młoda kobieta i jej stare towarzyszki patrzyły na mnie gdy odchodził, mogłem wnosić, że mężczyzna, któregom się tak lękał, był mojem zbawieniem, i że z niemi samemi nie byłbym się wykręcił tak tanio. Słyszałem jak mruczały groźnie, z czego sobie niewiele robiłem; byle szabla i jej właściciel nie mieszały się do rzeczy, czułem się dość lekki i zwinny aby się ocalić.

W kilka dni potem, przechodząc ulicą z młodym księżykiem, moim sąsiadem, spotkałem się nos w nos z moim zhawcą. Poznał mnie i ozwał się drwiąco, przedrzeźniając mnie: „Jestem księciem, rzekł, jestem księciem, a ja jestem dudek: ale niech Jego Wysokość nie próbuje drugi raz“. Nie dodał nic więcej, a ja pomknąłem ze spuszczoną głową, błogosławiąc w duchu tę wyrozumiałość. Domyśliłem się, że przekłete staruchy musiały mu zmyć głowę za jego łatwowierność. Jakkądz się rzeczy miały, ów wąsał, mimo że Piemontczyk, był to dobry człowiek; ilekroć o nim myślę, to zawsze z uczuciem wdzięczności: historia bowiem była tak pocieszna, że, dla samego zabawienia słuchaczy, każdy na jego miejscu byłby mnie wydał na hańbę. Ta przygoda, mimo że nie miała skutków, uczyniła mnie wszakże na długo ostrożnym.

W czasie pobytu u pani de Vercellis, zawarłem parę znajomo-

ści, które podtrzymywałem w nadziei że mogą mi być użyteczne. Odwiedzałem niekiedy, między innymi, sabaudzkiego księdza, nazwiskiem Gaime, nauczyciela dzieci hrabiego de Mellarède. Był to człowiek jeszcze bardzo młody i mało udzielający się, ale rozsądny, uczciwy, wykształcony, jeden z najzacniejszych ludzi jakich znałem. Na nic mi się nie przydał w sprawie dla której go odwiedzałem; nie miał dość stosunków aby mi wyrobić miejsce: ale znalazłem u niego cenniejsze korzyści, które posłużyły mi na całe życie; naukę zdrowej moralności, zasady uczciwości i rozsądku. W kolejnych przewrotach moich upodobań i poglądów, byłem zawsze za wysoko albo za nisko, Achillesem lub Tersytem, to bohaterem to nicponiem. Ksiądz Gaime podjął trud postawienia mnie na właściwym miejscu i otworzenia mi oczu na samego siebie, nie oszczędzając mnie ani zniechęcając. Wyrażał się bardzo pochlebnie o mym charakterze i zdolnościach: ale dodał, iż widzi w nich samych przeszkody, które nie pozwolą mi należycie ich wyzyskać; tak, iż powinny, jego zdaniem, posłużyć mi nietylko jako stopnie do powodzenia, ile raczej jako środki obycia się bez niego. Nakreślił prawdziwy obraz ludzkiego życia, o którym miałem jedynie chimeryczne pojęcia; pokazał mi, jak, w przeciwieństwach losu, rozumny człowiek zawsze może zmierzać ku szczęściu i obrać najwłaściwsze drogi; jako nie istnieje prawdziwe szczęście bez mądrości i cnoty, te zaś można znaleźć w każdym stanie. Zwątlilił bardzo mój kult dla wielkości świata, dowodząc, że ci, którzy władają drugimi, nie są ani mądrzejsi ani szczęśliwsi od tamtych. Powiedział jedną rzecz, która często wracała mi na pamięć, że, gdyby każdy mógł czytać w sercu bliźnich, więcej byłoby ludzi którzyby woleli zstąpić niżej, niż takich którzyby chcieli wspinać się wyżej. Ta uwaga, której prawda bije w oczy i w której niema nic przesady, bardzo mi w życiu pomogła w tem aby spokojnie pozostawać na swoim miejscu. Dał mi pierwsze prawdziwe pojęcia uczciwości, którą moje niezrównoważenie pojmowało jedynie w jej krańcach. Przekonał mnie, że szczytny zapal cnoty mało ma zastosowania w pożyciu z ludźmi; że

kto wzbija się zbyt wysoko, naraża się na upadki; że ustawiczne i równe spełnianie drobnych obowiązków nie mniej wymaga siły od bohaterских czynów; że ta droga lepsza jest i bezpieczniejsza dla szczęścia i honoru; że o wiele cenniejsze jest budzić zawsze szacunek, niż od czasu do czasu podziw.

Aby ustalić powinności człowieka, trzeba było zstąpić do ich źródeł. Rozmawiając nieraz o kroku którego następstwem było moje obecne położenie, zeszliliśmy oczywiście na kwestje religijne. Można się domyślić, że zacny ksiądz Gaime jest, bodaj w znacznej części, oryginałem mego *wikarego sabaudzkiego*. Różnica jest ta, iż on sam, zniewolony do ostrożności i powściągliwości, mniej otwarcie co do niektórych punktów wyraził mi swe zdanie: ale pozatem, jego zasady, uczucia, przestrogi, nawet rada abym wrócił do ojczyzny, wszystko zgodne jest z obrazem, jaki wiernie przekazałem czytelnikom. Nie zatrzymując się tedy przy naszych rozmowach, których treść każdy może poznać, powiem tylko, że jego nauki, mądre ale zrazu bezowocne, stały się w mem sercu zarodkiem cnoty i religji, który nie obumarł nigdy, i który, aby wydać owoc, czekał jedynie starań bardziej umiłowanej ręki.

Mimo iż wówczas nawrócenie moje mało miało fundamentów, rozmowy te wzruszały mnie. Nietylko nie nudziły mnie one, ale zamakowałem w nich dla ich jasności, prostoty, a zwłaszcza dla serca którem były przepojone. Mam duszę stworzoną do kochania, i zawsze przywiązywałem się do ludzi nietyle w stosunku do tego co mi wyświadczyli dobrego, ile w stosunku do ich chęci: pod tym względem, instynkt mój mnie nie myli. Toteż, pokochałem szczerze księdza Gaime; stałem się niejako jego drugim uczniem; co mi przyniosło doraźnie tę nieocenioną korzyść, iż odwróciło mnie od spadziowości złego, ku której ciągnął mnie brak zatrudnienia.

Jednego dnia, kiedy się najmniej tego spodziewałem, wezwano mnie w imieniu hrabiego de la Roque. W swoim czasie, po kilku daremnych usiłowaniach, zniechęciłem się i nie zachodziłem doń więcej: myślałem że o mnie zapomniał albo że zraził się do mnie.

Myliłem się. Niejednokrotnie był on świadkiem gorliwości, z jaką pełniłem obowiązki przy jego ciotce; mówił jej nawet o tem i przypomniał mi to wówczas gdy sam już zapomniałem. Przyjął mnie dobrze; rzekł, nie bawiąc się w puste obietnice, że starał się znaleźć dla mnie miejsce, że mu się to powiodło, że otwiera mi się droga zostania *czemś*, do mnie zaś należy postarać się o resztę; że dom, w który mnie wprowadza, jest możny i wpływowy i stosunki jego wystarczą w zupełności aby zapewnić mi karierę; mimo iż zrazu zajmę stanowisko zwykłego służącego, mogę być pewny, że, jeśli zachowanie moje i wartość okażą się powyżej tego stanu, nie pozostaną w nim długo. Koniec przemowy był okrutnym ciosem dla świetnych nadziei, które obudziły we mnie początek. Ech! wciąż lokajem! rzekłem sobie w duszy z gorzkim zawodem, który jednak niebawem rozprószyła wiara w siebie. Czulem się zbyt mało stworzonym do tego stanowiska, bym się miał obawiać iż mogę na niem pozostać zbyt długo.

Mój protektor zaprowadził mnie do hrabiego de Gouvon, nadwornego koniuszego królowej, naczelnika znamienitego rodu Solar. Wyraz godności, który cechował szanownego starca, podniósł jeszcze w mych oczach cenę życzliwości z jaką mnie przyjęto. Zadał mi parę pytań z widocznem zainteresowaniem: odpowiedziałem z pełną szczerością. Powiedział hrabiemu de la Roque, że mam fizjognomję przyjemną i zwiastującą bystry umysł; ale że bystrość dowcipu to jeszcze nie wszystko: trzeba dopiero przekonać się o rzeczy. Następnie, zwracając się do mnie, rzekł: „Moje dziecko, prawie w każdej rzeczy początki są trudne; mam wszelako nadzieję, iż twoje nie będą zbyt uciążliwe. Bądź uważający, staraj się przypaść do serca wszystkim w domu, oto, na razie, jedyne twoje zajęcie: pozatem bądź dobrej myśli; będziemy pamiętali o tobie“. Natychmiast udał się do apartamentów margrabin de Breil, swojej córki i przedstawił mnie; również księdzu Gouvon, swemu synowi. Ten początek zdawał się dobrze wróżyć. Znałem już na tyle świat, aby wiedzieć, że nie robi się tylu ceremonij z przyjęciem

zwykłego lokaja. W istocie, nie odnoszono się do mnie w ten sposób. Jadalem z domownikami, nie dano mi liberji; a gdy hrabia de Favria, młody wartogłów, wyjeżdżając na miasto, polecił mi stanąć z tyłu karocy, dziadek zabronił aby mnie używano do takich funkcji i abym miał pełnić jakiegokolwiek posługi poza domem. Usługiwałem, mimo to, przy stole i w domu sprawowałem mniejsze funkcje lokaja; ale sprawowałem je poniekąd swobodnie, nie przydany w szczególności żadnej osobie. Poza paroma listami które mi dyktowano, i obrazkami, które hrabia Favria kazał mi wycinać, byłem, przez cały dzień, prawie zupełnym panem swego czasu. Była to próba, na której się nie spostrzegłem, i z pewnością była ona bardzo niebezpieczna, a nawet niebardzo ludzka; w tej zupełnej bezczynności łatwo mogłem nabrać przywar, w które nie byłbym popadł inaczej.

Szczyściem nie zaszło nic podobnego. Nauki księdza Gaime wycisnęły się w mem sercu i tak w nich zasmakowałem, że wymyślałem się niekiedy, aby ich jeszcze posłuchać. Nie sądzę, aby ktoś, kto mnie widział wychodzącego ukradkiem, domyślił się gdzie szedłem. Ksiądz Gaime udzielił mi, w tym okresie, wielu mądrych wskazówek. Początki były wprost cudowne; pilność moja, baczność, gorliwość zwróciły na siebie uwagę wszystkich. Ksiądz Gaime ostrzegł mnie roztropnie, abym pohamował ten pierwszy zapal, z obawy aby nie ostygł z czasem i aby tego nie zauważono. „Ten wstęp, rzekł mi, będzie miarą tego, czego będą od ciebie żądali: zostaw-że sobie możliwość dawania w przyszłości więcej, a strzeż się zacząć dawać mniej“.

Ponieważ nie egzaminowano mnie wcale z mych skromnych umiejętności i przypuszczano iż posiadam jedynie to co mi dała natura, nie zanosilo się, mimo tego co mi hrabia Gouvon oświadczył, abym miał zająć pocześniejsze miejsce. Przyszły różne sprawy, kłopoty, zapomniano o mnie potrochu. Margrabia de Breil, syn hrabiego de Gouvon, był wówczas ambasadorem w Wiedniu. Zaszły na dworze wypadki, które dały się odczuć rodzinie i na kilka

tygodni wprawiły dom w poruszenie, nie zostawiając czasu do myślenia o mnie. Mimo to, aż do tej chwili, nie zaniedbałem się ani trochę. Pewna okoliczność wpłynęła na mnie źle i dobrze zarazem, broniąc mnie od wszelkiej dystrakcji z zewnątrz, ale czyniąc mnie nieco mniej uważnym w spełnianiu obowiązków. Pani de Breil miała córkę, mniejwięcej w moim wieku, kształtną, dość ładną, bardzo białą, o włosach bardzo czarnych; mimo to, na twarzy jej malował się ów wyraz słodczy, właściwy blondynkom, któremu serce moje nigdy nie umiało się oprzeć. Dworski krój, tak korzystny dla młodych osób, rysował jej zgrabną figurkę, uwydatniał piersi i ramiona i czynił pleć jeszcze bardziej olśniewającą, ile że wówczas noszono żałobę. Powie ktoś że nie jest prawem służącego zwracać uwagę na takie rzeczy. Źle czyniłem, to pewna; ale cóż? zauważyłem to wszystko, i nawet nie ja jeden. Marszałek dworu i pokojowcy rozmawiali nieraz na ten temat przy stole, i to z brutalnością, która sprawiała mi okrutne cierpienia. Mimo to, nie straciłem głowy do tego stopnia, aby się zakochać na dobre. Nie zapomniałem się; pamiętałem czem jestem i pragnienia moje nawet nie przychodziły do głosu. Lubilem widywać pannę de Breil, słyszeć z jej ust słowa, które świadczyły o dowcipie, rozsądku, dobroci. Ambicja moja, ograniczając się do rozkoszy usługiwania jej, nie przekraczała moich atrybucyj. Przy stole, bacznie szukałem sposobności, któraby pozwoliła mi z nich skorzystać. Jeśli lokaj panny de Breil opuścił na chwilę jej krzesło, natychmiast stawałem za niem: pozatem, starałem się zawsze znaleźć naprzeciw niej: czytałem w jej oczach żądanie, nim je wyrzekła; śledziłem moment, w którym mogłem odmienić jej talerz. Czegóż nie byłbym uczynił aby raczyła wydać mi jakiś rozkaz, spojrzeć na mnie, rzucić jedno słowo! ale nie: cierpiałem tę mękę iż nie istnieję dla niej; nie spostrzegła nawet, że jestem. Raz tylko, gdy jej brat, który niekiedy odzywał się do mnie przy stole, powiedział mi coś niezbyt uprzejmego, a ja sparowałem to w lot zręcznie i przytomnie, ściągnęło to jej uwagę, spojrzała na mnie. Ten rzut oka, mimo iż przelotny, wprawił mnie

w prawdziwe uniesienie. Nazajutrz, zdarzyła się sposobność dostąpienia po raz drugi tego szczęścia; skorzystałem z niej skwapliwie. Dawano tego dnia wielki obiad, przy którym pierwszy raz ujrzałem ze zdumieniem, że marszałek dworu usługuje ze szpadą przy boku i w kapeluszu na głowie. Przypadkiem zaczęto mówić o godle domu Solar, które znajdowało się na hacie z herbami: *Tel fiert, qui ne tue pas*. Któryś z gości (Piemontczycy nie są zbyt tędzy w języku francuskim) dopatrył się w tem godle błędu ortograficznego i powiedział, że w słowie *fiert* niepotrzebna jest litera *t*.

Stary hrabia de Gouvon miał zamiar odpowiedzieć; ale, rzucając okiem na mnie, spostrzegł, iż uśmiecham się, nie śmiejąc się odezwać: kazał mi mówić. Wówczas, rzekłem, iż nie wydaje mi się, aby *t* było zbyt potrzebne; *fiert* jest to stare słowo francuskie, które nie pochodzi od słowa *ferus*, dumny, groźny, ale od słowa *ferit*, uderza, rani; zatem, o ile mi się zdaje, godło nie mówi: Nie każdy kto grozi, ale nie każdy kto uderza, zabija.

Wszyscy patrzeli na mnie i spoglądali po sobie w milczeniu. W życiu nie widział nikt podobnego zdumienia. Ale co mi pochwiliło najwięcej, to iż wyraźnie ujrzałem na twarzy panny du Breil wyraz ukontentowania. Wyniosła osóbką raczyła mi rzucić drugie spojrzenie, warte conajmniej pierwszego; następnie, skierowawszy oczy na dziadka, zdawała się oczekiwać niecierpliwie pochwały, którą mi był winien, i którą oddał mi w istocie tak szczerze i z miłą tak zadowoloną, iż cały stół zawtórował chórem.

Chwila krótka, ale rozkoszna! Był to jeden z owych zbyt rzadkich momentów, które wracają rzeczy do ich naturalnego porządku i mszczą zdeptaną wartość ludzką za zniewagi losu. W chwilę potem, panna de Breil, podnosząc znów oczy na mnie, poprosiła mnie, tonem równie nieśmiałym jak uprzejmym, abym jej nalał wody. Można się domyślić, że nie pozwoliłem jej czekać; ale, kiedym się zbliżył, ośwładnęło mną takie drżenie, iż, nalawszy zbyt pełno, rozlałem nieco na talerz, a nawet na suknię. Brat jej spytał niebacz-

nie, czemu tak drzę. To pytanie nie pomogło mi do odzyskania spokoju, a panna zarumieniła się po białka.

Tu kończy się mój nowy romans, przyczem czytelnik zauważy, iż, podobnie jak z panią Basile, i w całym późniejszym mem życiu nie byłem szczęśliwy w rezultatach moich miłostek. Próżno wysiadywałem w przedpokoju pani de Breil; nie zyskałem już najmniejszego znaku uwagi ze strony córki. Wchodziła i wychodziła nie patrząc na mnie, a ja ledwie śmiałem na nią podnieść oczy. Byłem nawet tak głupi i niezręczny, że, gdy raz, przechodząc, upuściła rękawiczkę, którą byłbym rad okrył pocałunkami, nie śmiałem ruszyć się z miejsca, i ścierpiałem aby ją podniósł jakiś drab lokajsko, za co byłbym go chętnie udusił. Do reszty onieśmieliło mnie to, iż spostrzegłem, że nie mam szczęścia być w łaskach u pani de Breil. Nietylko nie dawała mi żadnych poleceń, ale nigdy nie chciała przyjąć moich usług; dwa razy wręcz zastawszy mnie u siebie w przedpokoju, spytała bardzo sucho, czy nie mam nic do roboty. Trzeba mi było porzucić ten drogi przedpokój. Zrazu, czułem żal; ale później co innego zaprzętnęło mi głowę i niebawem przestałem o tem myśleć.

Wzgardę pani de Breil wynagrodziły mi w pełni względy jej teścia, który zauważył wreszcie mą obecność. Po owym pamiętnym obiedzie miał ze mną blisko półgodzienną rozmowę; zdawał się rad ze mnie, ja zaś byłem oczarowany. Dobry staruszek miał może umysł nie tak świetny jak pani de Vercellis, ale bardziej ludzki; czułem się też z nim o wiele lepiej. Powiedział mi, abym się trzymał księdza de Gouvon, jego syna, który ma do mnie sympatję; że, o ile potrafię z niej skorzystać, przychylność jego może mi być użyteczną pomocą w widokach kariery. Zaraz nazajutrz, rankiem, pomknąłem do księdza de Gouvon. Przyjął mnie zgoła nie jak służącego. Kazał mi usiąść przy kominku, i, zadając pytania z wielką słodyczą, spostrzegł, że wykształcenie moje, zaczęte w wielu przedmiotach, w żadnym nie było ukończone. Znajdując zwłaszcza iż

zbyt mało posiadam łaciny, podjął się wydoskonalić mnie w tym języku. Umówiliśmy się, że będę przychodził co rano; mieliśmy zacząć nazajutrz. Tak, jednym z kaprysów losu, które często spotka się w biegu mego życia, znalazłem się wraz powyżej i poniżej swego stanu, będąc równocześnie wychowankiem i lokajem w tym samym domu; jako sługa, zyskałem pedagoga, który, z urodzenia, mógł być nauczycielem chyba dzieci królewskich.

Księżka Gouvon, jako młodszego syna, przeznaczała rodzina do infuły, z której to przyczyny dalej posunął swoje nauki, niż jest obyczajem dzieci szlacheckiego rodu. Wyprawiono go na uniwersytet do Sienny, gdzie pozostał kilka lat i skąd przywiózł sporą dozę *kruskantyzmu*¹⁾ aby się stać w Turynie mniej więcej tem, czem niegdyś ksiądz Dangeau w Paryżu. Wstręt do teologii pchnął go w kierunku literatury; zjawisko częste we Włoszech u młodych arystokratów na drodze do pastorału. Czytywał poetów, składał dość zgrabne wiersze po łacinie i po włosku. Słowem, posiadał tyle smaku, ile było trzeba aby ukształtować mój smak i wprowadzić pewien ład i wybór w rupieciarni jaką przedstawiała moja mózgowica. Ale, czy moja paplanina dała mu złudzenia co do mej wiedzy, czy nauczanie samych początków łaciny zdało się mu zbyt nudne, wziął odrazu o wiele z za wysoka; ledwie przeczytawszy ze mną kilka bajek Fedra, rzucił mnie w Wergiljusza, z którego nie rozumiałem prawie nic. Przeznaczone mi było, jak się okaże, brać się kilka razy do łaciny i nigdy się jej nie nauczyć. Mimo to, pracowałem dość żarliwie, a nauczyciel mój użyczał mi swej pomocy z dobrocią, której wspomnienie dziś jeszcze mnie rozczula. Spędzałem przy nim dobrą część ranka, tak dla mej nauki jak dla jego usługi; nie jego osoby, gdyż nigdy nie pozwolił abym go obsługiwał, ale pisząc za dyktandem i przepisując. Te zajęcia sekretarza więcej mi wyszły na pożytek, niż same godziny lekcji. Nietylko

¹⁾ *Kruskantyzm* jest synonimem *puryzmu* językowego, uprawianego przez akademję *della Crusca*.

nauczyłem się w ten sposób języka włoskiego w całej jego czystości, ale nabrałem zamiłowania do literatury i niejakiego rozeznania w dobrych książkach, których nie można było dostać u pani La Tribu. Przydało mi się to bardzo w przyszłości, kiedy mi przyszło pracować samemu.

To był okres mego życia, w którym, bez romantycznych projektów, mogłem z największą słuszością oddawać się nadziejom. Ksiądz de Gouvon był ze mnie zadowolony i powtarzał to wszystkim dokoła; ojciec zaś jego nabrał do mnie tak szczególnej sympatii, iż, jak się dowiedziałem od hrabiego de Favria, wspomniał o mnie królowi. Nawet pani de Breil porzuciła lekcieważące tony. Słowem, stałem się rodzajem faworyta, ku zazdrości reszty domowników, którzy, widząc iż mam zaszczyt pobierać nauki od syna ich pana, czuli że nie długo przyjdzie mi być ich równym.

Z paru słów nad którymi zastanowiłem się dopiero po czasie, mogłem poniekąd osądzić, jakie miano na mnie widoki. Otóż, zdaje mi się, iż dom de Solar, pragnąc iść drogą karier ambasadorskich, a może utorować ją sobie i do ministerjum, byłby rad urobić sobie zawczasu zdolnego i uczciwego człowieka, który, zależąc wyłącznie od tego domu, mógłby w przyszłości posiadać jego zaufanie i służyć mu skutecznie. Ten zamiar hrabiego de Gouvon był szlachetny, rozumny, wielkoduszny i w istocie godny dobroczynnego i przewidującego zarazem magnata; ale, pomijając, że nie zdawałem sobie wówczas sprawy z jego doniosłości, plan ten był zbyt rozsądny jak na moją głowę i wymagał zbyt długiej cierpliwości. Moja szalona ambicja chciała szukać szczęścia jedynie w zamęcie przygód; nie widziałem w tem wszystkim kobiety, droga ta zdała mi się przeto wolna, uciążliwa i smutna, gdy, właśnie dlatego, powinna mi się być wydać bardziej zaszczytną i pewną: ile że rodzaj przymiotów, jakie popierają kobiety, mniej jest z pewnością wart od tych, których się we mnie dopatrywano.

Wszystko szło wprost cudownie. Zyskałem, zdobyłem niemal przemocą uznanie całej rodziny; czas próby był skończony; w domu

patrzano na mnie jako na młodego człowieka, rokującego największe nadzieje, który nie jest na swoim miejscu i ma je niebawem zając. Ale miejsce moje było inne niż to, które mi przeznaczali ludzie, i miałem doń przybyć zgoła odmiennymi drogami. Tu zbliżam się do jednego z owych charakterystycznych rysów, które mi są właściwe: wystarczy pokazać czytelnikowi fakty, nie dodając żadnych uwag.

Jakkolwiek w Turynie znajdowało się wielu *nawróconych* mego pokroju, nie lubiłem ich i nie szukałem z nimi stosunków. Widywałem natomiast paru Genewczyków, którzy nie zmienili wyznania; między innymi niejakiego Mussard, z przewiskiem *kręci-morda*, malarza minjatur, nieco mi krewnego. Ten Mussard wyszperał mnie u hrabiego de Gouvon i przyszedł mnie odwiedzić z drugim Genewczykiem, zwanym Bâcle, z którym kolegowałem w terminie. Ów Bâcle był to chłopiec zabawny, wesoly, pelen wybryków i puštoty, którym młodość jego dawała szczególny powab.

I oto zaciętrzewiłem się w tym Bâcle'u, ale to do tego stopnia, że nie byłem wprost zdolny się z nim rozłączyć. Miał wkrótce opuścić Turyn, aby wrócić do Genewy. Cóż za strata! Czulem ogrom jej w całej pełni. Aby wyzyskać bodaj chwile które mi zostały, nie rozstawałem się z nim poprostu, a raczej on się nie rozstawał ze mną; na razie bowiem nie straciłem jeszcze głowy natyle, aby się z nim wałęsać całymi dniami poza domem bez opowiedzenia się.

Niebawem, widząc że mnie obsiaduje nieustannie, zabroniono mu wstępu do palacu; ja zaś zapamiętałem się do tego stopnia, że, tracąc z oczu wszystko z wyjątkiem przyjaciela, nie pokazywałem się ani u księdza de Gouvon ani u starego hrabiego; słowem nie widziano mnie już w domu. Upominano mnie; nie słuchałem. Zagrożono mi odprawą. Groźba ta stała się moją zgubą: ukazała mi w perspektywie możliwość nie rozstawania się z przyjacielem. Od tej chwili, nie widziałem innej rozkoszy, innego losu, szczęścia, jak tylko aby mu towarzyszyć w podróży: przed oczami majaczyły mi już niewymowne słodczye takiej wędrowki, na końcu której, na do-

miar upojenia, widziałem panią de Warens, ale w niezmiernem oddaleniu; bo co się tyczy powrotu do Genewy, nie przyszło mi to nawet na myśl. Góry, łąki, lasy, strumienie, wsie, przesuwały mi się przed oczami bez końca i bez przerwy, pełne wciąż nowych uroków; zdawało mi się, że w tej błogosławionej wędrówce spłynie całe moje życie. Przypomniałem sobie z rozkoszą, jak bardzo ta sama podróż wydała mi się uroczą, gdy szedłem do Turynu: czemuż byłaby teraz, gdy, do całego uroku swobody, dołączyłoby się szczęście wędrówki z towarzyszem w moim wieku, miłym, wesółym; wędrowania bez przymusu, bez obowiązków, bez troski, idąc, zatrzymując się, popasając wedle zachcenia! Trzebaby być szaleńcem, aby poświęcać podobne szczęście dla widoków powolnych, trudnych, niepewnych, które, przypuściwszy że kiedyś się ziszczą, i wówczas, w całym swoim blasku, nie warte są kwadransa prawdziwego szczęścia i wolności.

Opanowany tem rozsądnem szaleństwem, działałem tak skutecznie, iż wkońcu osiągnąłem że mnie wypędzono; a trzeba przyznać, nie przyszło mi to bez trudu. Jednego wieczora, gdy właśnie wrócił, marszałek dworu oznajmił mi w imieniu hrabiego, że mogę dom opuścić. Tego właśnie pragnąłem; czując bowiem mimowoli szaleństwo mego postępowania, dorzucąłem do niego, dla uspokojenia sumienia, niesprawiedliwość i niewdzięczność, mniemając, iż w ten sposób własne winy przrzucę na drugich i uniewinnię sam przed sobą swój krok, rzekomo spowodowany koniecznością. Powiedziano mi również, w imieniu hrabiego Favria, abym się z nim rozmówił nazajutrz, przed opuszczeniem domu; a ponieważ widziano po mnie, iż, będąc zupełnie niepoczytalny, gotów jestem tego nie uczynić, marszałek dworu oznajmił, że dopiero po tej wizycie wręczy mi sumkę, którą mi przeznaczono, a którą zarobiłem z pewnością bardzo lichą; nie mając bowiem zamiaru zostawiać mnie na stanowisku lokaja, nie wyznaczono mi zasług.

Hrabia Favria, mimo swej młodości i roztrzepania, przemówił do mnie słowami pełnemi rozsądku, śmiałym nawet rzec tkliwo-

ści. W pochlebnych i wzruszających wyrazach przywiódł mi przed oczy starania swego wuja i zamiary dziadka. Wreszcie, przedstawwszy w żywych kolorach wszystko co poświęcam aby biec ku zgubie, ofiarował się załagodzić sprawę, wymagając jedynie, abym przestał się widywać z nicponiem który mnie opętał.

Jasnym było, że nie mówił tego wszystkiego sam z siebie. Jakoż, mimo głupiego zaślepienia, uczułem całą dobroć starego mego pana i wzruszyłem się: ale wysniona podróż zbyt głęboko wycisnęła się w mej wyobraźni, aby cośkolwiek mogło przeważyć jej urok. Byłem zupełnie nieprzytomny: zaciąłem się, zaciekle, naburmuszyłem i odparłem zuchwale, że, skoro mi dano odprawę, zastosowałem się do tego; że nie czas się już cofać i że, co bądźby mi się miało przytrafić w życiu, wolę to, niż czekać aż mnie drugi raz wypędzą z domu. Wówczas, młody hrabia, słusznie pogniewany, nazwał mnie tak jak na to zasługiwałem, wyrzucił mnie z pokoju za kark i zatrzasnął drzwi. Co do mnie, wyszedłem tryumfujący, jak gdybym odniósł wielkie zwycięstwo: z obawy zaś, bym nie musiał stawić czoła nowej próbie, miałem tę niegodziwość aby opuścić dom, nie podziękowawszy księdzu de Gouvon za jego trudy.

Aby zrozumieć, do jakich granic byłem w tej chwili pod władzą mego szaleństwa, trzeba wiedzieć, do jakiego stopnia serce moje zdolne jest rozpalać się z najdrobniejszych powodów, i z jaką siłą urojenia, przedmiot, choćby najbliższy, który mnie pociąga w danej chwili, działa na mą wyobraźnię. Najbardziej dziwaczne, dziecinne, szalone projekty przychodzą wówczas w pomoc ulubionemu zachceniu i stroją je w kolory prawdopodobieństwa. Czy uwierzyłby ktoś, że, w dziewiętnastym roku, może ktoś na pustej fioletce oprzeć całą egzystencję? Owóż, słuchajcie.

Ksiądz Gouvon darował mi przed kilku tygodniami małą fontannę Herona, bardzo ładną, którą byłem oczarowany. Bawiąc się tą fontanną a zarazem mówiąc o naszych planach, wpadliśmy obaj, doświadczony Bâcle i ja, na pomysł, że zabawka ta mogłaby nam oddać ważne usługi w podróży i dopomóc do jej przedłużenia. Czy

może być w świecie coś równie ciekawego jak fontanna Herona? Zasada ta była podstawą, na której wzniesiliśmy gmach swojej fontuny. W każdej wiosce mieszkańcy niechybnie zbiegać się będą tłumnie do naszej fontanny, a żywność i wszelakie łakocie spadać będą na nas tem obficie, ile że obaj byliśmy przekonani, że środki żywności nic nie kosztują tych którzy je produkują, i, jeśli nie częstują nimi wędrowców, to z czystej zlej woli. Roiliśmy tedy same uczyty i zabawy, licząc, że, bez innych wkładów prócz powietrza z płuc i wody z naszej fontanny, opędzimy koszta podróży w Pjemencie, w Sabaudji, we Francji i w całym świecie. Układaliśmy na ten temat projekty iście bez końca. Na początek, postanowiliśmy skierować się na północ, bardziej dla przyjemności przebycia Alp, niż dla określonego celu.

(1731—1732). Taki był plan, na podstawie którego puściłem się w drogę, rzucając, bez żalu, mego protektora, nauczyciela, studja, nadzieję, widoki karjery niemal pewnej, aby rozpocząć życie prawdziwego włóczęgi. Żegnaj mi, stolico, żegnaj dworze, ambicjo, próżności, miłostki, piękne damy i wszystkie wspaniałe przygody, których nadzieja przywiodła mnie tu przed rokiem. Odchodzę, z moją fontanną, z drugim włóczęgą, mym godnym przyjacielem, ze szczupłą zaopatrzoną sakiewką, ale z sercem przepelnionem radością, myśląc jedynie o tem, aby nacieszyć się wędrownem szczęściem, do którego, od jednego zamachu, ograniczyłem moje świetne projekty.

Ta warjacka podróż odbyła się niemal tak przyjemnie jak się spodziewałem, ale nie zupełnie w ten sposób; mimo bowiem iż fontanna zabawiła na chwilę po karczmach gospodynie i dziewczęta, niemniej na odchodnem trzeba było płacić rachunek. Ale to nas nie trapiło; chowaliśmy sobie ten środek ratunku dopiero na chwilę ostateczną, kiedy będzie kuso z pieniędzmi. Przypadek oszczędził nam tego kłopotu: fontanna stłukła się, a był już czas, czuliśmy bowiem, nie śmiejąc sobie tego wyznać, że zaczynała nas nudzić. To nieszczęście przydało podniet naszej wesołości; śmialiśmy się

serdecznie sami z siebie, iż, w roztrzepaniu naszym, zapomnieliśmy że ubrania i trzewiki zużywają się z czasem, lub spodziewaliśmy się je odnowić zapomocą swojej fontanny. Wędrowaliśmy teraz dalej, równie wesoło i bez troski jak z początku, ale zmierzając prostszą drogą ku celowi, który, wobec coraz większego wychudzenia sarkiewki, trzeba było sobie wreszcie naznaczyć.

Zbliżając się do Chambéri, zacząłem być niespokojny, nie dla głupstwa które uczyniłem, nikt bowiem równie dobrze i szybko jak ja nie załatwiał się z przeszłością, ale na myśl o przyjęciu, jakie mnie czeka u pani de Warens. Uważałem jej dom najzupełniej za swój dom rodzinny. Doniosłem jej o miejscu u hrabiego de Gouvon; wiedziała na jakiej stopie tam jestem; winszując mi, udzieliła mi roztropnych przestroóg co do sposobu odwdzięczenia się za okazaną dobroć. Uważała mój los za zapewniony, o ile go nie zburzę własną dłonią. Cóż powie teraz na mój nagły powrót? Nie przyszło mi nawet na myśl, że mogłaby mi zamknąć drzwi: ale bałem się jej zmartwienia; lękałem się wymówek okrutniejszych dla mnie niżli nędza. Postanowiłem ścierpieć je w milczeniu i uczynić wszystko, aby ją ulagodzić. W całym świecie nie widziałem nic poza nią: żyć z jej nielaską, było mi wprost niepodobieństwem.

Co mnie najbardziej niepokoiło, to mój towarzysz; nie chciałem jej obarczać, na dobitkę, tym ciężarem, a lękałem się, że niełatwo przyjdzie mi się go pozbyć. Przygotowałem rozstanie, zachowując się ostatniego dnia dość zimno. Urwis odgadł mnie; był bardziej postrzelony niż głupi. Myślałem, że go dotknie moja niestałość: byłem w błędzie, imć Bâcle nie troszczył się o takie drobnostki. Ledwie, dotarwszy do Annecy, wkroczyliśmy w bramy, rzekł: „Jesteś tedy w domu“, uściskał mnie, pożegnał, zakręcił się na pięcie i znikł. Nigdy o nim nie słyszałem więcej. Znajomość nasza i przyjaźń trwały wszystkiego około pięciu tygodni, ale następstwa będą trwać póki mego życia.

Jakże mi biło serce, kiedy zbliżałem się do domu pani de Warens! nogi drżały podemną, oczy zachodziły mgłą, nie widzia-

łem, nie słyszałem nic, nie byłbym poznał nikogo; musiałem się zatrzymywać kilkakrotnie, aby odetchnąć i odzyskać zmysły. Czy to może obawa, że nie znajdę u niej potrzebnej pomocy tak mnie wzruszała? Czyż w tym wieku obawa głodowej śmierci napelnia takim przestraczem? Nie, nie; stwierdzam to z równą szczerością jak dumą, nigdy, w żadnej dobie życia, nadzieja korzyści lub obawa niedostatku nie zdołały przejąć mego serca radością lub lękiem. W ciągu mego życia, tak niespokojnego i upamiętnionego tyloma błędami, często bez dachu i chleba, zawsze jednak spokojnem okiem patrzałem na nędzę i dostatek. W potrzebie, byłbym zdolny kraść albo żebrać jak każdy inny, ale nie troskać się iż popadłem w tę ostateczność. Mało ludzi tyle cierpiało co ja, niewielu tyle wylało łez w życiu; ale nigdy ubóstwo ani jego obawa nie wydarły mi z piersi jednego westchnienia, z oka jednej łzy. Dusza moja, w próbach losu, widziała swoje dobro i zło jedynie w rzeczach które niezależą od niego; wówczas właśnie kiedy mi niczego nie brakło do życia, czułem się najnieszczęśliwszym ze śmiertelnych.

Ledwie stanąłem przed panią de Warens, widok jej uspokoił mnie. Zadrzałem na dźwięk jej głosu: rzucam się jej do stóp i, w uniesieniu najżywszej radości, przyciskam usta do jej ręki. Nie wiem, czy miała o mnie jaką wiadomość; w twarzy jej wyczytałem niewiele zdumienia, a już gniewu wcale. „Biedny mały, rzekła pieszczotliwie, już z powrotem? Wiedziałaś, że za młody jesteś na tę podróż; rada jestem przynajmniej, że nie obróciła się tak źle jak się obawiałam“. Następnie, kazała mi opowiedzieć mą historję, która nie była zbyt długa. Opowiedziałem wszystko wiernie, pomijając, co prawda, niektóre szczegóły, ale zresztą nie oszczędzając się ani niewinniejąc.

Nasunęła się kwestja noclegu. Naradziła się z panną służącą. Nie śmiałem oddychać w czasie tej narady; ale, gdy usłyszałem że będę nocował pod jej dachem, trudno mi było powściągnąć radość. Patrzałem jak niesiono moje zawiniątko do pokoju który mi był przeznaczony, tak mniejiwięcej, jak Saint-Preux, kiedy wyprzegają

u pani de Wolmar¹⁾ jego dylizans. Na domiar szczęścia dowiedziałem się, iż łaska ta nie będzie przelotna; na pozór nie słuchając i niby zajęty czem innym, usłyszałem, jak pani de Warens rzekła: „Niech gadają co chcą; ale skoro Opatrzność mi go odsyła zpowrotem, zdecydowana jestem go nie opuścić“.

Znalazłem się tedy w jej domu. Pobyt ten, to nie był jeszcze ów, od którego liczę szczęśliwe dni mego życia, ale przyczynił się do przygotowania tamtego. Mimo iż owa wrażliwość serca, której zawdzięczamy poczucie naszego szczęścia, jest dziełem natury, a może wytworem organizacji, potrzebuje ona okoliczności któreby ją rozwinęły. Bez tych okolicznościowych przyczyn, człowiek z urodzenia wrażliwy nie doznałby żadnych wzruszeń i umarłby nie poznawszy nic ze swego jestestwa. Takim mniejwięcej byłem dotąd; takim może byłbym został na zawsze, gdybym nie poznał pani de Warens, albo gdybym, nawet poznawszy ją, nie żył obok niej dość długo, aby nasiąknąć słodkim nawykiem tkliwości, jaką we mnie obudziła. Nie waham się rzec, że, kto zna tylko miłość, temu nieznanne jest najslodsze co istnieje w życiu. Znam inne uczucie, mniej gwałtowne może, ale tysiąc razy bardziej rozkoszne, które niekiedy łączy się z miłością, a często jest od niej odrębne. Uczucie to, to nie jest też sama przyjaźń; jest bardziej upajające, tkliwsze, i nie wyobrażam sobie, aby mogło istnieć w stosunku do osoby tej samej płci; ja przynajmniej, choć zdolny do przyjaźni jak mało kto w świecie, nie doznawałem go nigdy dla żadnego z przyjaciół. To co mówię, nie jest dość jasne, ale stanie się jaśniejsze w dalszym ciągu: uczucia można opisać jedynie w ich działaniu i skutkach.

Pani de Warens zamieszkiwała domostwo stare, ale dość obszerne, posiadające, między innymi, piękny, obszerny pokój, z którego uczyniła rodzaj salonu: tam właśnie mnie pomieszczono. Pokój ten wychodził na dróżkę o której mówiłem, miejsce naszego

¹⁾ Bohaterowie *Nowej Heloizy*, słynnej powieści Russa.

pierwszego spotkania; za strumieniem i ogrodami ciągnęły się pola. Widok ten nie był dla młodego lokatora rzeczą obojętną. Pierwszy to raz, od czasów Bossey, widziałem za oknami zieloność. Zaw sze uwięziony w murach, miałem przed oczyma jedynie dachy albo szarą ulic. Jakże ta nowość zdała mi się rozkoszną i słodką! mnożyła ona wielce moje roztkliwienie. Uroczy krajobraz stawał się w mych oczach jeszcze jednym dobrodziejstwem drogiej opie- kunki; zdawało mi się, że umieściła go tam umyślnie dla mnie; czu-łem rozkosz znajdowania się w jej pobliżu, widziałem ją wszędzie wśród kwiatów i zieloności; jej uroki i urok wiosny zlewały się w mych oczach w jedno. Serce moje, dotąd zduszone, czuło się wolniejsze w tej przestrzeni, westchnienia moje płynęły swobod- niej w tę zieleń.

Nie było u pani de Warens wspaniałości, jakie widziałem w Tu- rynie; ale była schludność, przystojność i patryjarchalny dostatek, które nigdy nie idą w parze z przepychem. Miała niewiele sreber, porcelany wcale, nie miała zapasów dzicyzny w spiżarni ani za- granicznych win w piwnicy; ale i jedna i druga dobrze były zaopa- trzone dla użytku wszystkich, a w filiżankach z fajansu podawała doskonałą kawę. Ktokolwiek wstąpił w jej dom, zaproszony był na obiad z nią albo u niej, i nigdy żaden robotnik, posłaniec albo prze- chodzień nie wyszedł nie nakarmiony albo nie napojony. Służbę jej stanowili: pokojowa, dość ładna dziewczyna z Fryburga, nazwi- skiem Merceret; służący z jej stron rodzinnych, Klaudjusz Anet, o którym będzie mowa w dalszym ciągu; kucharka, i dwaj najemni tragarze, gdy udawała się w lektyce w odwiedziny, co zdarzało się rzadko. Był to dość wielki dwór na dwa tysiące franków renty; ale i ten dochodził, przy dobrem gospodarstwie, mógł być starczyć na wszystko, w kraju gdzie ziemia jest dobra, a pieniądź rzadki. Nie- szczęściem, oszczędność nigdy nie była jej cnotą: zadłużała się, pła- ciła procenty, pieniądź przemykał przez ręce i rozchodził się nie- wiadomo gdzie.

Sposób prowadzenia domu był właśnie taki, jaki ja sam był-

bym wybrał: można się domyślić, że korzystałem zeń z przyjemnością. Mniej mi się podobało to, że trzeba było długo siedzieć przy stole. Pani de Warens z trudnością znosiła pierwszy opar zupy i potraw; zapach ten przyprawiał ją niemal o omdlenie, a uczucie odrazy trwało długo. Powoli, przychodziła do siebie i rozmawiała nic nie biorąc do ust. Ledwie po jakiej półgodzinie próbowała pierwszego kąska. Byłbym przez ten czas trzy razy uporał się z obiadem; dawno skończyłem posiłek, gdy ona jeszcze nie zabrała się do swego. Zaczynałem na nowo dla towarzystwa; w ten sposób jadłem za dwóch, co mi nie wychodziło na szkodę. Słowem, oddawałem się całym sobą słodkiemu uczuciu dobrobytu, jakiego doznawałem przy niej, ile że dobrobytu tego nie mącił wówczas żaden niepokój o jego środki. Nie będąc powiernikiem jej interesów, mniemałem, iż zawsze dom będzie mógł iść tym trybem. Później, zażywałem w jej domu tych samych słodczy; ale, bardziej świadom położenia i wiedząc że te wydatki zjadają na pniu dochody, nie smakowałem już w nich z takim spokojem. Przewidywanie zawsze niweczyło we mnie rozkosz użycia. Pozatem, odgadywanie przyszłości na nic mi się nie zdało w życiu; nigdy nie zdołałem jej uniknąć.

Od pierwszego dnia, utrwaliła się między nami najmiłsza poufalskość, taka jaka przetrwała do końca jej życia. Ja nazywałem się dla niej *Mały*, ona dla mnie *Mamusią*; i zawsze zostaliśmy *Małym* i *Mamusią*, nawet kiedy, z biegiem lat, zatraciła się prawie różnica wieku. Uważam, że te dwa miana cudownie oddają obraz naszego stosunku, prostoty obcowania, a zwłaszcza tonu serc. Ona była dla mnie najczulszą matką, która nigdy nie szukała swojej przyjemności lecz zawsze mego dobra; a jeżeli zmysły miały udział w mem przywiązaniu, to głos ich nie przeobrażał charakteru tego przywiązania ale czynił je bardziej uroczem; upajał mnie szczęściem, iż posiadam mamusię ładną i młodą, której pieśszoty przejmują mnie rozkoszą: powiadam pieśszoty w dosłownem znaczeniu, bo nigdy nie przyszło jej na myśl skąpić mi pocałunków i najśłodszych ma-

cierzyńskich pieszczot, a nigdy nie powstała w mem sercu myśl nadużywania ich. Powie ktoś, iż mieliśmy wkońcu stosunki odmiennego rodzaju; przyznaję; ale cierpliwości, nie mogę wszystkiego powiedzieć odrazu.

Chwila pierwszego spotkania i wzruszeń z nią połączonych była jedyną, w której widok pani de Warens obudził we mnie namiętność; a i ta chwila była poniekąd dziełem niespodzianki. Nigdy moje niedyskretne spojrzenia nie wciskały się pod jej chusteczkę, mimo iż powabne okrągłości mogły je były skusić. Nie doznawalem przy niej uniesień ani pożądań; zażywałem rozkosznego spokoju, upajałem się sam nie wiedząc czem. Byłbym tak przebył całe życie, wieczność nawet, nie nudząc się ani chwili. Ona była jedyną osobą, z którą nigdy nie odczułem przymusu, graniczącego nieraz z męką. Nasze sam na sam były nietyle rozmową, ile nieustającym świągotaniem, które kończyło się wówczas, gdy nam je coś przerwało. Nietylko nie trzeba mnie było zmuszać do mówienia, ale raczej narzucać mi milczenie. Nieraz, mając głowę nabitą projektami, mamusia popadała w zadumę: ach, wówczas pozwalałem jej dumać, milczałem, patrzyłem na nią i czułem się najszcześliwszym z ludzi. Miałem jeszcze jeden osobliwy narów. Nie pragnąc wyciągać z naszych sam na sam szczególnych korzyści, szukałem ich wszakże bez ustanku, napawałem się nimi z upojeniem, które mieniło się we wściekłość, skoro jakimś natrętem zdarzyło się je zakłócić. Ilekroć ktoś przybył, mniejsza o to kto, mężczyzna czy kobieta, wychodziłem natychmiast szemrając, nie mogąc scierpieć abym miał dzielić jej obecność z kimś trzecim. Chroniłem się do przedpokoju, gdzie liczyłem minuty, przeklinając po tysiąc razy ciągłych gości i nie mogąc pojąć, o czem oni mają tyle do gadania, ponieważ sam miałem do gadania jeszcze więcej.

Ale siłę swego przywiązania czułem w pełni dopiero wówczas, kiedy nie byłem przy mamusi. Kiedy byliśmy razem, byłem tylko zadawalony; w jej nieobecności niepokój mój stawał się wprost bolesny. Potrzeba życia obok niej przyprowadzała mnie o wybuchy czu-

łości, dochodzące niekiedy do łez. Nigdy nie zapomnę, jak raz, w wielkie święto, gdy ona była na niesporach, ja przechadzałem się za miastem, z sercem pełnem jej obrazu i gorącego pragnienia aby resztę dni spędzić przy jej boku. Miałem dość rozsądku, aby widzieć, że, jak na teraz, było to niemożliwe, i że szczęście którem się upajałem nie potrwa długo. To dawało marzeniom moim odciśnięcie smutku; ale nie miał on nic posępnego, łagodziła go radosna nadzieja. Dźwięk dzwonów, na który zawsze byłem dziwnie wrażliwy, śpiew ptaków, piękność dnia, słodycz krajobrazu, zaciszne i sielskie domki w których roilem wspólne nasze mieszkanie; wszystko to budziło we mnie tak żywe, czułe, smętne i przejmujące wzruszenie, że byłem jakgdyby w ekstazie, przeniesiony w ten szczęśny czas i w to szczęśliwe życie. Serce moje, zażywając upragnionej słodyczy, syciło się nią w nieopisanem upojeniu, nie myśląc nawet o rozkoszy zmysłów. Nie przypominam sobie, abym kiedy przeżył się duchem w przyszłość z większą siłą i potęgą iluzji niż wówczas; a co mnie najbardziej uderzyło we wspomnieniu tych marzeń, wówczas gdy się one spełniły, to zupełna tożsamość przedmiotów rzeczywistych z temi które widziałem w mojem zachwyceniu. Niepodobna, aby sen człowieka na jawie miał większe podobieństwo do wizji proroczej, niż ten właśnie. Zawodu doznałem jedynie co do jego urojonej trwałości: w śnie tym bowiem dnie, lata, życie całe, spływały z niezmiennym spokojem, podczas gdy w rzeczywistości trwało to tylko chwilę. Niestety! najtrwalsze moje szczęście było we śnie: ziszczeniu jego prawie natychmiast towarzyszyło przebudzenie.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał szczegółowo opowiadać szaleństwa, do jakich pobudzało mnie wspomnienie drogiej mamusi, kiedy nie byłem przy jej boku. Ileż razy całowałem moje łóżko z myślą że ona w niem spała; to znów firanki, meble, z myślą iż należały do niej i że dotykała ich jej piękna ręka; podłogę nawet, do której przyciskałem twarz z myślą że ona po niej stąpała! Niekiedy, nawet w jej obecności, nawiedzały mnie szaleństwa, które, zda-

waloby się, jedynie najgwałtowniejsza miłość zdolna jest podsunąć. Jednego dnia, w chwili gdy kładła kasek do ust, zawołałem że jest na nim włos; wypluła na talerz: chwytam go chciwie i połykam. Słowem, między najnamiętniejszym kochankiem a mną była tylko jedna jedyna różnica, ale zasadnicza, i która czyni niepojętym dla rozumu mój stan ówczesny.

Wróciłem z Włoch nie zupełnie taki jak się tam puściłem, ale taki, jakim może nigdy w moim wieku nikt nie wrócił z tego kraju. Przyniosłem z powrotem nie dziewictwo, ale nieznaną kobietę. Odczułem bieg lat; niespokojny temperament obudził się wreszcie, a pierwsze jego wyładowanie, bardzo mimowolne, zrodziło we mnie, na punkcie mego zdrowia, niepokoje, które lepiej niż wszystko malują poprzednią mą niewinność. Wkrótce, zbywszy się obaw, nauczyłem się owego niebezpiecznego surogatu, który oszukuje naturę i oszczędza młodym ludziom o mojem usposobieniu wielu szaleństw, kosztem zdrowia, sił, a niekiedy i życia. Ten nałóg, tak poręczny dla wstydliwych i nieśmiałych natur, ma, prócz tego, wielki urok dla człowieka z żywą wyobraźnią; daje możność rozrządzania niejako całą płcią niewieścią i wciągania w swoje uciechy piękności która nas kusi, bez potrzeby starania się o jej zgodę. Uwiedziony tą złowrogą łatwością, pracowałem nad zniszczeniem silnej konstytucji, którą natura odbudowała we mnie z wątych zaczątków i której pozostawiłem czas na spełnienie tego dzieła. Proszę teraz dorzucić do tego nałogu obecne warunki: mieszkam pod jednym dachem z piękną kobietą, pieszcząc jej obraz w sercu, widując ją bez przerwy w ciągu dnia, wieczór otoczony przedmiotami które ją przypominają, w łóżku w którym wiem że ona sypiała. Ileż tu podniet! niejeden czytelnik, który je sobie uzmysłowi, musi mnie już uważać za pół-nieboszczyka. Wręcz przeciwnie: to, co powinno było mnie zgubić, ocaliło mnie właśnie; przynajmniej na jakiś czas. Upojony życiem w jej pobliżu, z gorącą chęcią pozostania z nią przez resztę dni, widziałem w niej — bądź bliskiej, bądź nieobecnej — najczulszą matkę, ukochaną siostrę, rozkoszną przyja-

ciółkę, i nic więcej. Widziałem ją zawsze tak, zawsze tę samą, i tylko ją.

Jej obraz, wciąż przytomny w mem sercu, nie zostawiał miejsca na żaden inny; była dla mnie jedyną kobietą jaka istniała na świecie. Niezmierna słodycz uczuć które we mnie tchnęła, nie pozwalając zmysłom moim obudzić się dla drugich, zabezpieczała mnie od niej samej i od jej plci. Słowem, byłem wstrzemięźliwy, ponieważ ją kochałem. Z tych stanów, które zresztą maluję niedostatecznie, niech mi kto wytłómaczy jakiego rodzaju było moje przywiązanie. Co do mnie, mogę powiedzieć tyle, że, jeśli już teraz wydaje się ono niezwykle, w dalszym ciągu wyda się niem o wiele więcej jeszcze.

Spędzałem czas najrozkoszniej w świecie, zajęty rzeczami które najmniej przypadają mi do smaku. Zajęciem mojem było redagowanie projektów, porządkowanie rachunków, przepisywanie recept; to znów przesiewanie ziół, rozcieranie lekarstw, dozorowanie alembików. Wśród tego, przewijały się tłumy interesantów, żebraków, gości wszelkiego rodzaju. Trzeba było równocześnie zajmować się żołnierzem, aptekarzem, kanonikiem, piękną damą, braciażkiem klasztornym. Kłąłem, mruczałem, zlorzeczyłem, wysyłałem do diabła przeklętą ciżbę. Mamusia, która wszystko brała z wesołej strony, śmiała się z moich wybuchów do łez; a więcej jeszcze rozśmieszała ją moja wściekłość że nie mogę wstrzymać się od śmiechu. Zachwycające były te chwile przerwy, w których miałem czas dać upust niezadowoleniu; a jeśli, w czasie sprzeczki, zjawiał się jaki natręt, umiała znaleźć nowy materiał do zabawy, przedłużając złośliwie wizytę i rzucając mi spojrzenia, za które byłbym ją chętnie wybił. Trudno jej było nie parsknąć śmiechem, widząc, jak, skrepowany przyzwitością, wytrzeszczam rozjuszone oczy, czując, mimo wszystkich wysiłków, w głębi duszy cały komizm sytuacji.

Wszystko to, choć mniej miłe samo przez się, bawiło mnie, ponieważ stanowiło cząstkę owego życia, które miało dla mnie nie-

wysłowiony urok. Nic z tego co się działo koło mnie, co ja sam musiałem robić, nie było wedle mego smaku, ale wszystko wedle mego serca. Sądzę iż byłbym zdolny polubić nawet medycynę, gdyby mój wstręt nie był źródłem paradnych scen, któremi bawiliśmy się bez przerwy: pierwszy raz może umiejętność ta sprawiała podobne skutki. Twierdziłem, iż odróżnię po zapachu książkę medyczną od każdej innej; a co zabawne, rzadko się myliłem. Mamusia kazała mi kosztować najobrzydliwszych leków. Daremnie próbowałem bronić się albo uciekać; mimo oporu i wykrzykiwań, mimo zaciskania zębów, skoro jej ładne paluszki całe ubabrane zbliżyły się do mej twarzy, trzeba mi było otworzyć usta i posmakować. Kiedy jej cały dwór zgromadzony był w jednym pokoju, gdyby ktoś słyszał nas, jak uganiamy i krzyczymy wśród wybuchów śmiechu, myślałby iż tu się przygotowuje jakaś farsę a nie opiaty albo eliksiry.

Nie cały czas jednak trawiłem na figlach. W pokoju swoim znalazłem kilka książek: *Spektator*, Puffendorf, Saint-Evremond, *Henrjada*. Mimo iż przeminęła mi dawna furja czytania, w braku zajęcia rozczytywałem się potrochu w tem wszystkim. *Spektator* zwłaszcza podobał mi się bardzo i dobrze na mnie wpłynął. Ksiądz de Gouvon nauczył mnie czytać mniej chciwie a z większem zastanowieniem; więcej też korzystałem z lektury. Przyzwyczajałem się zwracać uwagę na styl, na budowę zdania; uczyłem się odróżniać czysty francuski język od prowincjonalnych naleciałości.

Niekiedy rozmawiałem z mamusią o tem com czytał; czasem czytywałem jej głośno; to sprawiało mi wielką przyjemność; starałem się dobrze czytać, co mi się również przydało. Wspomniałem, iż posiadała umysł pięknie uprawny: wówczas znajdował się on w swoim rozkwicie. Wielu ludzi pióra starało się o jej względy i wszczepiło jej trafny sąd o płodach ducha. Miała, jeśli można się tak wyrazić, smak nieco protestancki, czytywała chętnie Bayle'a i wysoko ceniła Saint-Evremonda, który oddawna we Francji się przeżył, ale to nie przeszkadzało, że znała i dobre książki i mówiła o nich bardzo trafnie. Wychowała się w doborowych towarzy-

stwach; przybywszy zaś do Sabaudji jeszcze młodo, straciła w przyjemnym towarzystwie miejscowych szlacheckich domów ów wymuszony ton panujący w Vaud, gdzie kobiety uważają, że szczytem światowości jest chęć nieustannego błyszczenia i że każde słowo powinno być kalamburem.

Jakkolwiek na dworze spędziła czas bardzo krótki, rzut oka wystarczył jej, aby ten świat dobrze poznać. Zawsze zachowała tam przyjaciół, i, mimo tajemnych zazdrości, mimo szemrań jakie budził jej sposób życia i jej długi, nigdy nie postradała swojej pensji. Posiadała znajomość świata, oraz zdolność orjentacyjną, która pozwalała jej wyciągnąć praktyczny użytek z owej znajomości. Był to ulubiony przedmiot jej rozmów, a, zważywszy moje chimeryczne o świecie pojęcie, ten rodzaj nauki był mi właśnie najpotrzebniejszy. Czytywaliśmy razem La Bruyère'a: bardziej smakowała w nim niż w *Maksymach* la Rochefoucaulda, smutnej i rozpaczliwej książce, zwłaszcza za młodu, kiedy nie lubimy widzieć człowieka takim jak jest. Kiedy zapuszczała się w rozprawy moralne, gubiła się nieco we mgle; ale, całując od czasu do czasu jej twarz albo ręce, mogłem zdobyć się na cierpliwość i te przydługie wywody nie nudziły mnie wcale.

Życie to było zbyt słodkie aby mogło trwać. Czulem to; niepokój, iż ono się skończy, był jedyną rzeczą, która mąciła mi jego słodycze. Wśród całej tej pustoty, mamusia przyglądała mi się, rozważała, zadawała mi pytania, i układała różne plany mej przyszłości, które byłbym jej chętnie podarował. Szczęściem nie wystarczało na to poznać moje skłonności, upodobania, talenciki; trzeba było jeszcze znaleźć albo stworzyć sposobność korzystania z tego wszystkiego: a to nie było łatwe. Pocziwa dusza wytworzyła sobie dość wysokie wyobrażenie o mej wartości: to samo już odwlekąło chwilę wprzęgnięcia mnie w jakieś taczki, czyniąc mamusię trudniejszą w wyborze. Słowem, wszystko składało się wedle mych życzeń, dzięki dobrej opinii jaką mamusia o mnie powzięła; ale wresz-

cie trzeba było spuścić z tonu, i oto koniec mych lubych wywczasów! Krewny pani de Warens, nazwiskiem d'Aubonne, przybył w odwiedzinę. Był to człowiek bardzo sprytny, intrygant, geniusz projektów jak ona, ale z tą różnicą, iż nie tracił na nich ale zyskiwał: słowem, egzystencja nieco awanturnicza. Przedłożył właśnie kardynałowi de Fleury skomplikowany plan loterji, który nie zyskał uznania. Jechał go przedstawić na dworze w Turynie, gdzie go przyjęto i wprowadzono w czyn. Po drodze, zatrzymał się jakiś czas w Annecy, gdzie zakochał się w pani intendentowej, osobie bardzo milej, bardzo w moim guście, jedynej którą widywałem z przyjemnością u mamusi. Pan d'Aubonne zauważył mnie, kuzynka mówiła mu z zapałem o moich talentach: podjął się wyegzaminować mnie, zobaczyć do czego jestem zdatny i, gdyby egzamin wypadł po myśli, gdzieś mnie umieścić.

Pani de Warens wysyłała mnie doń kilka dni z rzędu, pod pozorem jakiegoś zlecenia, nie uprzedzając mnie o niczem. Pan d'Aubonne rozgadał mnie zręcznie, spoufalil się ze mną, ośmielił mnie jak mógł, paplał ze mną o głupstwach i o najrozmaitszych przedmiotach, nie zdradzając niczem że mnie obserwuje, bez najmniejszego przymusu, ot tak, jakgdyby, smakując w mojem towarzystwie, chciał sobie trochę pogwarzyć bez ceremonji. Byłem oczarowany. Rezultat obserwacji był: iż, mimo obiecujących pozorów i żywej fizjognomji, jest ze mnie chłopak, jeśli nie całkiem tępy, to w każdym razie nierozgarnięty, bez własnego sądu, bez myśli, słowem ograniczony pod każdym względem, i że zaszczyt zostania kiedyś wiejskim proboszczem jest największym losem, do jakiego mogę aspirować. Tak brzmiało sprawozdanie, które złożył pani de Warens. Już drugi czy trzeci raz w życiu osądzono mnie w ten sposób: nie był to raz ostatni i wyrok pana Masseron często miał się spotkać z potwierdzeniem.

Przyczyna tych sądów zbyt silnie wiąże się z moim charakterem, abym mógł ją zostawić bez objaśnienia; zrozumiałą bowiem

jest rzeczą, że nie mogę szczerze pisać się na ten wyrok, i że, przy całej bezstronności, niesposób przyjąć mi dosłownie tego, co orzekli pp. Masseron, d'Aubonne i wielu po nich.

Dwie rzeczy, prawie niemożliwe do połączenia, kojarzą się we mnie w sposób zupełnie niepojęty: bardzo gorący temperament, namiętności żywe, gwałtowne — oraz myśli poczynające się leniwo, jakby spętane i zawsze zjawiające się późno. Rzekłbyś, serce moje i umysł nie należą do jednego osobnika. Uczucie, szybsze niż błyskawica, w jednej chwili napelnia mą duszę; ale, miast oświecić, parzy mnie i oślepia. Czuję wszystko, nie widzę nic. Czuję się porwany, jakby ogłuszony: aby skupić myśl, muszę odzyskać zimną krew. Co jest dziwne, to że przy tem mam odczucie dość trafne, mam przenikliwość, nawet spryt, byle mi zostawiono czas: umiem złożyć wyborne *impromptu*, gdy się przygotowuję; ale dorywczo, na prędce, nigdy nie byłem zdolny nic dorzecznego uczynić ani powiedzieć. Umiałbym podtrzymać zręczną wymianę myśli listownie, tak jak podobno Hiszpanie grywają w szachy. Kiedy przeczytałem anegdotę o księciu Sabaudji, który, ujechawszy spory kawał drogi od stacji, odwrócił się aby krzyknąć: *W wasze ręce, panie gospodarzu!* pomyślałem sobie: Oto ja.

Ta powolność myślenia, połączona z żywością czucia, cechuje mnie nietylko w rozmowie; mam ją i sam, kiedy pracuję. Myśli układają mi się w głowie z trudnością nie do wiary: krążą w niej podziemnie, fermentują tak, iż cały drzę, płonę, doznaję palpacji; ale, w tym naporze wzruszenia, nie widzę nic jasno, nie umiałbym napisać ani słowa, muszę czekać. Nieznacznie, uspokajam się, chaos ten porządkuje się, każda rzecz układa się na swoim miejscu, ale powoli i po długim okresie zamętu. Czy widzieliście kiedy we Włoszech operę? W czasie zmiany scen, panuje tam w teatrach przykry i długi nieład; dekoracje płaczą się w jeden chaos, gwałt, szarpanina nieznośna do patrzenia, zdaje się że wszystko się przewróci: ale powoli wszystko się układa, nieczego nie zbywa, i widz patrzy ze zdumieniem, jak, z tego długiego zamętu, wylania się

urocze widowisko. Podobny mniejwięcej proces rozgrywa się w moim mózgu, kiedy się biorę do pisania. Gdybym umiał odczekać, a potem oddać w całej piękności rzeczy które się tak zarysowały, niewielu autorów zdołałoby mnie przewyższyć.

Stąd ogromna trudność, jaką mi sprawia pisanie. Rękopisy moje pokreślone, pobazgrane, splątane, nieczytelne, świadczą o trudzie jaki mnie kosztowały. Niema jednego, którego bym nie musiał przepisywać kilka razy, nim oddam do druku. Nie umiałem nigdy nic zrobić z piórem w rękę, w obliczu stolika i ćwiartki popieru; piszę w swoim mózgu, to na przechadzce, wśród skał i lasów, to znów przewracając się po łóżku w bezsenne noce: można osądzić, jak powolny to proceder, zwłaszcza dla człowieka zupełnie pozbawionego słownej pamięci, który w życiu nie mógł się nauczyć sześciu wierszy. Niejedno zdanie, okres cały musiałem obracać i przerabiać przez kilka nocy w głowie, nim byłem zdolny przelać je na papier. Stąd pochodzi, iż łatwiej mi przychodzą dzieła wymagające pracy, niż rzeczy lżejsze, np. listy, których tonu nigdy nie umiałem pochwyć i których pisanie jest dla mnie męczarnią. List, choćby najblahszy, kosztuje mnie całe godziny męki, albo, jeśli chcę pisać wprost jak mi myśli przychodzą, nie umiem zacząć ani skończyć; list staje się jedynie długą i mętną gadaniną, ledwie zrozumiałą dla tego kto go czyta.

Nietylko ujmowanie wrażeń przychodzi mi ciężko, odbieranie ich także. Studjowałem ludzi, i mam się za niezgorszego obserwatora: nie umiem wszelako nic *spostrzec* z tego co widzę; widzę dobrze jedynie to co sobie przypominam, bystry jestem jedynie we wspomnieniu. Ze wszystkiego co mówią, co czynią, co się dzieje w mej obecności, nie wiem, nie ogarniam nic. Działa na mnie wówczas jedynie zewnętrznosc. Ale później, wszystko mi wraca; przypominam sobie miejsce, czas, dźwięk, spojrzenie, ruch, okolicznosci; nic mi nie ujdzie. Wówczas, z uczynków albo powiedzeń każdej osoby, odtwarzam sobie jej ukryte myśli i rzadko zdarzy mi się pomyśleć.

Będąc tedy tak mało panem swego umysłu sam ze sobą, moż-

na osądzić czem muszę być w rozmowie, gdzie, aby mówić do rzeczy, trzeba równocześnie i odrazu mieć w myśli tysiąc drobiazgów! Samo wyobrażenie tych wszystkich konwenansów, oraz pewność iż to lub owo niechybnie ujdzie mej uwagi, wystarcza aby mnie onieśmielić. Nie rozumiem, jak ktoś może przemawiać w większem towarzystwie: przy każdym słowie, trzebaby chyba zrobić w myśli przegląd obecnych; trzebaby znać charaktery wszystkich, znać ich dzieje, aby być pewnym, że się nie powie czegoś co mogłoby kogoś dotknąć. Pod tym względem, ludzie światowi mają wielką przewagę: lepiej wiedząc co trzeba zamilczeć, pewniejsi są tego co mówią, a i im zdarzy się strzelić bąka. Otóż, proszę sobie wyobrazić pomyśleńca takiego jak ja: minuty jednej nie może mówić bezkarnie. Rozmowa sam na sam ma inną niedogodność, dla mnie jeszcze uciążliwszą, to jest konieczność ustawicznego mówienia: kiedy ktoś mówi, trzeba odpowiadać; kiedy milknie, trzeba podtrzymywać rozmowę. Ten nieznośny przymus wystarczyłby już sam aby mi zmierzić towarzystwo. Nie znam straszliwszego musu, niż konieczność mówienia z miejsca i bezustanku. Nie wiem, czy to wynika z mej śmiertelnej odrazy dla wszelkiego ucisku; ale wystarczy żeby mi było trzeba koniecznie mówić, abym niechybnie palnął głupstwo.

Najfatalniejsze jest to, że, zamiast siedzieć cicho kiedy nie mam nic do powiedzenia, wówczas właśnie, aby corychlej pozbyć się obowiązku, zaczynam mówić z istną furją. Jak opętany belkocę jakieś słowa bez myśli; bardzo jeszcze szczęśliwie, jeśli wogóle nic nie znaczą! Chcąc przewyciężyć albo uleczyć swoje niezdarstwo, rozwijam je właśnie w całej pełni. Wśród tysiąca przykładów, które mógłbym przytoczyć, wybieram jeden, nie datujący z mej młodości, ale z czasu, kiedy, obracając się wiele lat w świecie, byłbym nabrał jego swobody i tonu, gdyby to wogóle było możliwe. Znalazłem się raz w towarzystwie dwóch wielkich pań i mężczyzny, którego mogę wymienić: księżę de Gontaut. Nie było nikogo więcej; ja zaś czyniłem wszelkie wysiłki, aby wcisnąć jakieś słówko — i jakie, Boże! — w rozmowę czworga osób, z których trzy

nie potrzebowały z pewnością mej pomocy. Pani domu kazała sobie przynieść szkatułkę z jakimś opiatem, który zażywała codziennie na żołądek. Druga, widząc jej skrzywienie, rzekła, śmiejąc się: Czy to specyfik doktora Tronchin ¹⁾? — Cóż znowu, odparła tym samym tonem druga. — Myślę że nie o wiele lepszy, dorzucił dwornie dowcipny Rousseau. Wszyscy zmartwieli, nikomu nie wymknęło się najłżejsze słowo ani uśmieszek; w chwilę potem, rozmowa zwróciła się na inne tory. Wobec kogo innego, bąk byłby tylko zabawny; ale, zwrócony do osoby zbyt uroczej aby mogła nie ściągnąć na siebie ludzkich gadań, osoby której z pewnością nie miałem chęci obrazić, odezwanie się było straszliwe; sądzę, że świadkowie mego wyskoku bardzo musieli się wstrzymywać aby nie parsknąć śmiechem. Oto, jakie koncepty wymykają mi się przez to, iż chcę odezwać się z czemś, nie mając nic do powiedzenia. Póki życia, nie zapomnę tej przygody; pomijając bowiem, że sama w sobie jest dość pamiętna, podejrzewałem mocno, że miała ona następstwa, które przypominają mi o niej aż nadto.

Mniemam, że dostatecznie już wytłumaczyłem, w jaki sposób, nie będąc głupcem, często uchodziłem za niego, nawet u ludzi zdolnych mieć sąd w tej mierze. Sąd ten wypadł tem nieszczęśliwiej, im więcej obiecywano sobie po moich oczach i fizjognomji; to uczucie zawodu przyczynia się jeszcze do podkreślenia mego gamoństwa. Szczegół ten, o którym nadmieniam tu przy sposobności, okaże się w dalszym ciągu nie bez znaczenia. Zawiera on klucz do wielu dziwactw mego postępowania, przypisywanych zazwyczaj dzikości która zgoła nie jest mą naturą. Lubiałbym towarzystwo jak każdy, gdybym nie miał pewności, iż okazuję się w niem nietylko w najmniej korzystnej postaci, ale zupełnie inny niż jestem. Dlatego właśnie, tryb życia jaki obrałem, to jest pisać i pozostawać w ukryciu, najlepiej mi odpowiada. Z obcowania ze mną nikby się

¹⁾ *Opiat* albo *marmelada doktora Tronchin*, był to środek łagodnie przeczyszczający, w którego skład wchodziła kassja.

nie domyślił co jestem wart, niktby nawet nie podejrzewał tego. Tak np. było z panią Dupin, mimo iż jest to osoba bystra i mimo że spędziłem w jej domu kilka lat: sama mi to później powtarzała. Zresztą, w tem wszystkim niebrak i pewnych wyjątków, do czego jeszcze będę miał sposobność powrócić.

Skoro tedy określono tak stanowczo miarę mych talentów i wskazano najwłaściwszy zawód, była już tylko mowa o tem, jak ułatwić mą wokację. Trudność była w tem, że nie przeszedłem żadnych studjów; nie posiadałem nawet dosyć łaciny na to, aby zostać księdzem. Pani de Warens wpadła na myśl, aby mnie przygotować przez jakiś czas w seminarjum. Pomówiła z przełożonym. Był to lazarysta, nazwiskiem X. Gross, poczciwy człeczyna, w pół ślepy na jedno oko, chudy, szpakowaty, najrozumniejszy i najmniej skłonny do pedanterji ze wszystkich lazarystów jakich znałem; co zresztą nie mówi zbyt wiele.

Zachodził czasem do mamusi, która go ugaszczała, czuliła się z nim, kokietowała nawet. Niekiedy, kazała mu się sznurować, której to czynności podejmował się dość chętnie. Gdy on poważnie wywiązywał się z funkcji, ona uganiała po pokoju to tu to tam, chwytala się tego i owego. Wleczony za sznurowadło, ksiądz superior biegł za nią, narzekając i powtarzając raz po raz: „Ale stójże pani spokojnie“. Przedstawiało to obrazek dość malowniczy.

Ksiądz Gross przychylił się chętnie do projektu. Zadowolił się umiarkowaną opłatą i podjął się nauki. Chodziło jedynie o zezwolenie biskupa; nietylko zgodził się, ale podjął się opłacać pensję. Pozwolił również, abym nosił świeckie ubranie, do czasu gdy będzie można ocenić moje widoki.

Cóż za przemiana! Ha, trzeba było się poddać. Szedłem do seminarjum jak na ścięcie. Cóż to za smutne miejsce, zwłaszcza gdy się dlań opuszcza dom uroczej kobiety! Wziąłem z sobą jedną książkę, której mamusia pożyczyła mi na moje prośby i która była mi wielką pociechą. Nie zgadnie nikt, co to za książka: nuty. Między talentami, które mamusia uprawiała, nie brakło i muzyki. Miała

ładny głos, śpiewała niźle i grała na klawikordzie: była tak dobra, że udzieliła i mnie paru lekcyj śpiewu; a trzeba było zaczynać z daleka, ledwie bowiem znałem melodje psalmów. Kilka lub kilkanaście tych kobiecych lekcyj, bardzo nieregularnych, nietylko nie doprowadziło mnie do solfedżjów, ale nie nauczyło nawet czwartej części znaków muzycznych. Mimo to miałem taką pasję do tej sztuki, że chciałem ćwiczyć się dalej sam. Nuty, które uniosłem z sobą, nie były z najłatwiejszych; były to kantaty Clérambaulta. Można sobie wyobrazić, jaka była moja pilność i zawziętość, kiedy powiem, że, nie znając ani interwałów ani wartości nut, zdołałem odcyfrować i prześpiewać bez błędu pierwszy recytatyw i pierwszą arję kantaty *Alfeus i Aretuza*. Prawda, iż utwór ten skandowany jest tak trafnie, że wystarczy rytmicznie czytać wiersze, aby trafić w rytm melodji.

Był w seminarjum przekłety lazarysta, który się zabrał do mej edukacji, i który, przez sposób w jaki mnie uczył łaciny, obudził we mnie wstręt do tego języka. Miał wylizane czarne i tłuste włosy, twarz jak z piernika, głos bawoli, spojrzenie puhacza, dziczą szczech na brodzie; uśmiech miał sardoniczny, członki poruszały się jak kikuty manekina. Zapomniałem jego obmierzłego nazwiska; ale obleśna i złowroga jego twarz tak dobrze mi się wyryła w pamięci, iż trudno mi ją przypomnieć sobie bez drżenia. Czasem, zdaje mi się że jeszcze go spotykam w korytarzu, jak wdzięcznie wysuwa swój lepki od brudu biret, dając znak, abym wszedł do pokoju, okropniejszego dla mnie niż więzienie. Można osądzić wrażenie: podobny nauczyciel dla mnie, który bywałem uczniem dworskiego labusia!

Gdybym pozostał dwa miesiące wydany na pastwę tego potwora, jestem przekonany że postradałbym zmysły. Ale poczciwy ksiądz Gross, który widział że jestem smutny, nie jem, chudnę, odgadł przyczynę strapienia; co zresztą nie było trudno. Wydobył mnie z pazurów bestji, i oto — nowy kontrast jeszcze jaskrawszy! — oddał mnie najłagodniejszemu z ludzi: był to młody kleryk, nazwi-

skiem Gâtier, który odbywał lata seminarjum i który, przez uprzejmość dla księdza Grossa, a myślę że i przez wrodzoną poczciwość, zechciał ująć nieco czasu studjom i poświęcić go mnie. Nie widziałem nigdy bardziej ujmującej fizjognomji. Włosy blond, broda przechodziła w odcień rudawy: wygląd miał zwyczajny ludziom z owych stron, którzy, pod pospolitą postacią, kryją zazwyczaj umysł subtelny i bystry: ale co uderzało najbardziej, to wrażliwa, czuła, kochająca dusza. W niebieskich oczach malowało się jakieś połączenie słodyczy, tkliwości i smutku, które sprawiało, iż, ujrzawszy, nie można było minąć go obojętnie. Ze spojrzeń, z głosu biednego młodzieńca można było odgadnąć niejako, że przewiduje swój los i czuje się zrodzony poto aby być nieszczęśliwym.

Charakter jego, cierpliwy i uprzejmy, był w zgodzie z fizjognomją. Raczej zdawał się uczyć wraz ze mną, niżeli mnie nauczać. To wszystko starczyło aż nadto aby zdobyć mą miłość: poprzednik jego uczynił to zadanie bardzo łatwym. Ale, mimo czasu który mi poświęcał, mimo najlepszej woli nas obu i mimo że brał się bardzo dobrze do rzeczy, czyniłem, przy dużym nakładzie pracy, małe postępy. Szczególne jest, że, mimo iż objęcie mam dość łatwe, nie mogłem nigdy nic sobie przyswoić z nauczycielem: wyjąwszy ojca i pana Lamercier. Wezystkiego co umiem, nauczyłem się sam, jak później się okaże. Umysł mój, niecierpliwy na wszelkie jarzmo, nie umie się poddać przymusowi chwili; lęk iż nie zdołam czegoś się nauczyć, rozprasza mą uwagę; z obawy zniecierpliwienia tego kto mi wyklada, udaję że rozumiem, on idzie dalej a ja nie pojmuję nic i gubię się zupełnie. Duch mój chce iść własnym krokiem, i nie umie dostroić się do cudzego.

Ksiądz Gâtier ukończył seminarjum i wrócił jako djakon w swoje strony. Uniósł z sobą mój żal, przywiązanie, wdzięczność. Zanosilem za niego modły, które nie zostały wysłuchane, jak i te które słałem za samego siebie. W kilka lat później, dowiedziałem się, iż, będąc wikarym, przyprawił o ciężą jakąś dziewczynę, jedyną jaką tkliwe jego serce miało w życiu pokochać. W surowo rzą-

dzonej decyzji, wypadek ten stał się niebywałym skandalem. Księżom chcącym przestrzegać reguły, wolno płodzić dzieci jedynie z mężatkami. Za uchybienie temu prawidłu przyzwoitości, wtrącono go do więzienia, osławiono, wygnano. Nie wiem, czy zdołał później zatrzeć te następstwa: ale wspomnienie jego niedoli, głęboko wyryte w mem sercu, wróciło mi na pamięć kiedy pisałem *Emila*: jednocząc księdza Gâtier z księdzem Gaime, ulepiłem z tych dwóch zacnych kapłanów oryginał *wikarego sabaudzkiego*. Pochlebiam sobie, że kopja nie przyniosła hańby pierwowzorom.

Gdy przebywałem w seminarjum, pan d'Aubonne musiał opuścić Annecy. Intendentowi zaczęły się niepokochać miłości z żoną. Postępował w tem jak ów klasyczny pies z bajki; mimo bowiem iż pani Corvezi była godna wszelkich względów, sam żył z nią bardzo lichy. Południowe upodobania czyniły mu jej towarzystwo zbyt cennym; obchodził się z nią tak brutalnie, iż była wręcz mowa o separacji. Pan Corvezi był to szpetny człowiek, czarny jak kret, ponury jak sowa; postępowaniem swem doprowadził do tego, iż wkońcu usunięto go ze stanowiska. Powiadają, że prowansalczyacy mszczą się na nieprzyjaciolach piosenką; pan d'Aubonne pomścił się na wrogu komedją i posłał tę sztukę pani de Warens, która mi ją pokazała. Spodobała mi się i obudziła we mnie ochotę napisania też jakiej, dla spróbowania czy jestem w istocie tak tępy, jak autor zawyrokował: ale dopiero w Chambéri urzeczywistniłem ten zamiar, pisząc sztukę p. t. „Kochanek samego siebie“. Zatem, mówiąc w przedmowie do tej sztuki, że napisałem ją w osiemnastym roku, skłamałem o kilka lat.

Do tego czasu mniejwięcej odnosi się wypadek, mało ważny sam w sobie, ale który nie był bez następstw, i narobił wiele hałasu w świecie, wówczas gdy o nim zapomniałem. Raz na tydzień wolno mi było wychodzić; nie potrzebuję mówić jaki użytek robiłem z tego czasu. Jednej niedzieli, kiedy byłem u mamusi, ogień wszczął się w budynku Franciszkanów, przylegającym do jej domu. Budynek ten, w którym mieściły się kuchnie klasztorne, pełen był aż

do stropu, suchych drewn. Wszystko stanęło w ogniu w jednej chwili: dom był w wielkim niebezpieczeństwie; płomienie, niesione wiatrem, już poczęły go lizać. Zaczęto go opróżniać w pośpiechu i wynosić meble do ogrodu, położonego pod memi dawnymi oknami, za strumykiem. Byłem tak pomieszany, że rzucałem przez okno, bez różnicy, co mi podpadło pod rękę; między innymi kamienny móżdziej, który, w innym czasie, ledwie byłbym udźwignął. Byłbym gotów wyrzucić nawet wielkie lustro, gdyby mnie ktoś nie wstrzymał. Zaczynał biskup, który tego dnia bawił u mamusi, nie pozostał bezczynny: zaciągnął ją do ogrodu, gdzie zaczął odprawiać modły wraz z nią i obecnymi; tak iż, nadbiegłszy w chwilę potem, ujrzałem cały dom na kolanach i sam też ukląknęłam. Podczas modłów tego świętego człowieka wiatr zmienił kierunek, ale tak nagle i tak w porę, że płomienie, które ogarniały dom i wciskały się już przez okna, zwróciły się w inną stronę dziedzińca: dom nie ucierpiał żadnej szkody. W dwa lata później, kiedy ksiądz de Bernex umarł, antonini, jego dawni współbracia, zaczęli gromadzić dokumenty do jego beatyfikacji. Na prośbę ojca Boudet, dołączyłem do tych aktów poświadczenie tego zdarzenia, co było słuszne; zbłądziłem tylko w tem, iż podałem ten fakt za cud. Widziałem biskupa pogrążonego w modlitwie i, podczas tej modlitwy, w moich oczach, wiatr zmienił szczęśliwie kierunek: oto co mogłem zeznać i poświadczyć; ale żeby jedna z tych dwóch rzeczy była przyczyną drugiej, tego nie powinienem był stwierdzać, nie mogłem bowiem tego wiedzieć. Wszelako, o ile mogę sobie przypomnieć mój stan pojęć, wówczas szczerze katolicki, działałem w dobrej wierze. Miłość cudowności, tak wrodzona ludzkiemu sercu, cześć dla cnotliwego prałata, tajemna duma że i sam może przyczyniłem się do cudu: oto co mnie skusiło. Tyle jest pewne, że, gdyby istotnie cud ten był skutkiem najzarliwszych modłów, miałbym zaiste prawo mniemać, że i ja nie byłem w nim bez zasługi.

Przeszło trzydzieści lat później, kiedy ogłosiłem moje *Listy z gór*, pan Fréron odgrzebał, nie wiem jakim sposobem, ten certy-

fikat i zrobił z niego użytek w dziennikach. Trzeba przyznać, że pomysł był szczęśliwy i na czasie, a zestawienie to mnie samego zabawiło szczerze.

Przeznaczone mi było stać się wyrzutkiem wszystkich zawodów. Mimo iż ksiądz Gâtier wydał co do mych postępów orzeczenie jak mógł najmniej nieprzychylnie, jawnem było że nie stoją one w stosunku do włożonej pracy; to nie było zachęcające, aby prowadzić dalej moje studja. Toteż biskup i superjor zniechęcili się i zwrócili mnie pani de Warens, jako osobnika który nie zda się nawet na księdza. Pozatem, mówili, dobry chłopiec i niezepsuty: co było przyczyną, że, mimo tylu niekorzystnych opinij, nie porzuciła mnie.

Odniosłem w jej dom z tryumfem nuty, z których tak wiele skorzystałem. Melodja z *Alfeusa* i *Aretuzy*, to mniejwięcej wszystko, czegom się nauczył w seminarjum. Moje wyraźne zamiłowanie do tej sztuki nasunęło dobrej opiekunce myśl, aby ze mnie zrobić muzyka: a była sposobność potemu. Muzykowano w jej domu przynajmniej raz na tydzień, a kapelmistrz katedralny, który przodował małemu koncertowi, odwiedzał ją często. Był to paryżanin, tytułowany przez wszystkich Mistrzem, dobry kompozytor, żywy, wesoły, młody jeszcze, dość przyjemnej postaci, nie żaden orzeł, ale zresztą najlepszy człowiek w świecie. Mamusia zapoznała mnie z nim: polubiłem go bardzo, on też nie był dla mnie źle uprzedzony: powstał projekt umieszczenia mnie u niego; ugodzono się. Krótko mówiąc, przystałem do niego i spędziłem tam zimę, tem przyjemniej iż dom jego znajdował się o dwadzieścia kroków od mamusi, mogliśmy tedy być u niej w jednej chwili i często wieczoraliśmy razem.

Można sobie wyobrazić, że życie na chórze kościelnym, śpiewne i wesołe, w towarzystwie muzykantów i chłopców z chóru, podobalo mi się lepiej, niż pobyt w seminarjum z ojcami lazarystami. Życie to, mimo iż swobodniejsze, było wszelako wcale jednostajne i uregulowane. Było mi przeznaczone kochać niezależność, a nigdy

jej nie użyć do syta. Przez pół roku nie wyszedłem ani razu z domu inaczej, jak tylko udając się do mamusi albo do kościoła, i nawet nie miałem żadnej pokusy w tej mierze. To był okres mego życia w którym cieszyłem się największym spokojem i który wspominam najmilej. W rozmaitych sytuacjach jakie kolejno przebywałem, niektóre nacechowane były takim uczuciem błogości, że, wspominając je, doznaję wzruszenia, jak gdyby jeszcze trwały. Nietylko przypominam sobie czas, miejsce, osoby, ale wszystkie otaczające przedmioty, temperaturę powietrza, jego zapach, barwę, jakieś nieokreślone wrażenie danego miejsca, którego doznałem tylko tam i które mnie ogarnia na nowo najwyższem wspomnieniem. Tak na przykład, wszystko co ćwiczyliśmy na próbach, wszystko cośmy śpiewali na chórze, wszystko co się tam działo, piękny i szlachetny strój kanoników, ornaty księży, mitry kantorów, twarze muzykantów, stary kulawy cieśla który grał na kontrabasie, młody blondyn, kleryczek rzempolący na skrzypcach, jakaś obstrzępiona sutanna którą Mistrz, odpiąwszy szpadę, wkładał na świeckie ubranie, i piękna komża z cienkiego płótna którą zakrywał jej lachy kiedy udawał się na chór; дума, z jaką, trzymając w rękę flecik, sadowiłem się w orkiestrze na trybunie, aby odegrać parę taktów, które Mistrz dopisał umyślnie dla mnie; smaczny obiadek który nas czekał potem; apetyt z jakim się do niego siadało; owo pasmo drobnych wydarzeń, odbijające się z całą żywością w mej pamięci, czarowało mnie sto razy wspomnieniem, tak samo i bardziej jeszcze niż w rzeczywistości. Zachowałem zawsze czułość dla jednej melodji z *Conditor alme siderum*, idącej jambami, w którąś bowiem niedzielę adwentu, słyszałem z łóżka jak śpiewano ten hymn przed świtem na stopniach katedry. Panna Merceret, pokojowa mamusi, miała trochę pojęcia o muzyce: nigdy nie zapomnę motetu *Afferte*, który Mistrz kazał mi z nią śpiewać, i którego pani de Warens słuchała z taką przyjemnością. Słowem, wszystko, nawet pocziwa służąca Piotrusia, zacna dziewczyna której chłopaki z chóru tyle psot

platały, wszystko wraca mi nieraz we wspomnieniach owego czasu szczęścia i niewinności, aby mnie czarować i zasmucać.

Żyłem w Annecy blisko od roku bez zarzutu: wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Od Turynu nie popełniłem żadnego szaleństwa; a ten piękny stan trwał tak długo, jak długo byłem pod okiem mamusi. Ona mnie prowadziła i prowadziła zawsze dobrze: przywiązanie do niej stało się mą jedyną namiętnością; a że namiętność ta nie była obłędem, dowodzi iż serce moje kształtowało mój rozsądek. Prawda, iż jedno jedyne uczucie, pochłaniające niejako wszystkie władze, odejmowało mi możliwość uczenia się czegokolwiek, nawet muzyki, mimo wszelkiej z mej strony wysiłków. Ale nie było w tem mojej winy; przeciwnie, okazywałem dobrą wolę, pilność i wytrwałość. Byłem roztargniony, marzący, wzdychałem co chwila: cóż poradzić? Brak postępów zupełnie był niezależny ode mnie. Z drugiej strony, abym znów wrócił na drogę szaleństw, trzeba było jedynie, aby się znalazł ktoś ktoby mnie pociągnął. Ten ktoś zjawił się; przypadek przyszedł mu z pomocą i, jak się pokaże dalej, moja szalona głowa nie umiała się obronić.

Jednego wieczora, w lutym, w tęgi mróz, siedząc w domu wkoło ognia, usłyszeliśmy pukanie. Piotrusia bierze latarnię, schodzi, otwiera: jakiś młody człowiek wciska się za nią do pokoju. Przedstawia się swobodnie i zwraca się do Mistrza w dwornem i zgrabnem powitaniu, podając się za muzyka z Francji, który, wskutek złego stanu finansów, musi szukać w swej sztuce środków opędzenia drogi. Na to miano *muzyk z Francji*, serce zadrżało zacnemu Mistrzowi: kochał namiętnie swój kraj i swą sztukę. Przyjął młodego wędrowca, ofiarował mu łóżko, którego tamten zdawał się mocno potrzebować i które przyjął bez wielkich ceremonij. Przyglądałem mu się, gdy się grzał przy ogniu i gwarzył czekając wieczery. Był średniego wzrostu, ale pleczysty; miał coś niekształtnego, mimo iż bez szczególnego kalectwa: coś jakby karzeł o spleszczonych ramionach. Zdaje mi się, że i kulał nieco. Miał czarne

ubranie, bardziej zniszczone niż stare, które opadało z niego w strzępach; bardzo cienką i bardzo brudną koszulę, piękne koronkowe mankiety, kamasze, z których jeden mógłby pomieścić obie jego nogi; wreszcie, jako ochronę od śniegu, kapelusik taki jakie się nosi w salonie pod pachą. Ten komiczny strój miał jednak coś szlachetnego, z czem obejście nie klóciło się zresztą. Fizjognomję miał bystrą i sympatyczną; mówił łatwo i dobrze, ale bez cienia skromności. Wszystko znamionowało w nim młodego utracjusza, który otrzymał dobre wychowanie, ale którego awanturniczy temperament popchnął do włóczęgi. Rzekł, iż nazywa się Venture de Villeneuve, że idzie z Paryża i zablądził w drodze; poczem, zapominając nieco o roli muzyka, dodał, iż spieszy do Grenoble, odwiedzić krewniaka którego ma tam w parlamencie. Przy wieczerzy, rozmowa toczyła się o muzyce: gość odzywał się z wielką pewnością siebie. Znał wszystkich wirtuozów, wszystkie dzieła, aktorów, aktorki, ładne kobiety, wielkich panów. We wszystkim, o czem była mowa, zdawał się bardzo mocny; ale, ledwie dotknął jakiego przedmiotu, zwracał rozmowę na inny, zapomocą jakiegoś blażeństwa z którego się wszyscy śmiali, zapominając o czem była mowa. Była to sobota: nazajutrz miała być muzyka w katedrze. Mistrz proponuje mu, aby zaśpiewał; odpowiedź: „bardzo chętnie“; pyta go jakim głosem śpiewa: „pierwszy tenor“, i znowuż o czem innem. Nim ruszyliśmy do kościoła, dano mu partję do przejrzenia; nawet okiem na nią nie rzucił. Ta gaskonada zdziwiła Mistrza. „Zobaczycie, szepnął mi do ucha, że on ani jednej nuty nie zna. — Mocno się obawiam“, odparłem. Szedłem za nimi bardzo niespokojny. Kiedy koncert miał się zacząć, serce biło mi jak młotem, bardzo bowiem obchodził mnie już ten przybłąd.

Uspokoilem się od pierwszej chwili. Odśpiewał dwa ustępy czysto i z najlepszym smakiem, a co większa, bardzo ładnym głosem. W życiu nie miałem przyjemniejszego zdziwienia. Po mszy, Venture był przedmiotem owacyj kanoników i muzykantów, na które odpowiadał blaznując, ale zawsze z wdziękiem. Mistrz uściskał go

serdecznie, ja również: widział, że byłem bardzo rad, co, o ile mi się zdaje, sprawiło mu przyjemność.

Każdy mi przyzna, sądząc, iż, zadrurywszy się poprzednio w Bâcle'u, ostatecznie tylko zwykłym włóczędze, mogłem się zapalić do pana Venture, który miał wykształcenie, talent, dowcip, obycie w świecie i który robił wrażenie przemilego urwisa. Zdarzyło mi się to w istocie, a byłoby się zdarzyło, jak myślę, każdemu młodemu na mojem miejscu, o tyle łatwiej jeszcze, o ile miałby więcej rozeznania aby poznać się na czyichś talentach i więcej smaku aby się do nich zapalić. Venture bezsprzecznie był utalentowany, miał zwłaszcza jeden talent, rzadki w jego wieku: nie był natrętny w roztaczaniu swych bogactw. Prawda iż chelpił się wieloma rzeczami o których nie miał pojęcia; ale o tych, które umiał, a było ich sporo, nie wspominał nic: czekał sposobności popisu; wówczas, bez zbytej gorliwości, roztaczał swą biegłość, która, podana w ten sposób, czyniła tem większe wrażenie. Ponieważ, po każdym takim sukcesie, przerywał niedbale nie wspominając o reszcie, niewiadomo było kiedy ujrzy się dno skarbnicy. Żartowniś, figlarz, niewyczerpany w conceptach, pelen uroku w rozmowie, zawsze uśmiechnięty a nie śmiejący się nigdy, umiał najwykwintniejszym tonem mówić najgrubsze rzeczy, które mu uchodziły. Kobiety, nawet najskromniejsze, same były zdziwione na ile mu pozwalają. Próżno zdawały sobie sprawę, że trzeba by się pogniewać: nie mogły. Co do niego, zadowalał się zupełnie dziewczętami z ulicy i nie sądząc aby był stworzony do miłości; ale miał dar wnoszenia niesłychanego uroku w towarzystwo innych, szczęśliwszych odeń w tym względzie. Trudno wyobrazić sobie, aby, przy tylu przemilych talentach, w kraju w którym umieją się na nich poznać i ocenić je, mógł długo pozostać w sferze podrzędnych muzyków.

Moja przyjaźń dla pana Venture'a, jakkolwiek żywsza i trwalsza niż uczucie które powziąłem dla Bâcle'a, bardziej była usprawiedliwiona w swej przyczynie, a zarazem mniej żalosa w skutkach. Lubilem go widywać, rozmawiać z nim; wszystko co robił

zdalo mi się zachwycające; co mówił było mi wyrocznią: ale zacie-
trzewienie nie szło tak daleko abym się z nim nie mógł rozłączyć.
Miałem, tuż obok siebie, najlepszą ochronę przeciw takim wybry-
kom. Zresztą, jasne mi było, iż zasady jego, wyborne dla niego sa-
mego, nie nadawały się zgoła dla mnie; mnie trzeba było innych
rozkoszy, o jakich on nie miał pojęcia i o których nie śmiałem na-
wet z nim mówić, pewny iż wyśmiałby mnie. Mimo to, pragnąłem
połączyć moje przywiązanie dla niego z owem innem które włada-
ło w mem sercu. Opowiadałem o nim mamusi z entuzjazmem;
Mistrz również dołączał swoje pochwały. Pozwoliła go przyprowa-
dzić. Ale spotkanie zawiodło zupełnie: on ujrzał w niej pretensjo-
nalną wykwintniszę, ona w nim urwisa i nicponia. Zaniepokojona
tak podejrzaną znajomością, nietylko nie pozwoliła więcej go spro-
wadzać, ale odmalowała mi tak wymownie niebezpieczeństwo tego
towarzystwa, że stałem się nieco powściągliwszy w przyjaźni. Zresztą,
bardzo szczęśliwie dla mych obyczajów i rozsądków, niebawem
rozstaliśmy się.

Mistrz miał upodobania właściwe swej sztuce: lubił wino. Przy
stole, był wstrzemięźliwy; ale, kiedy pracował, musiał popijać. Słu-
żąca знаła go tak dobrze, iż, skoro tylko przygotował papier nuto-
wy i wydobył wiolonczelę, dzbanek i szklanka zjawiały się natych-
miast na stole, przyczem dzbanek odnawiał od czasu do czasu swą
zawartość. Nie będąc nigdy zupełnie pijany, był prawie stale za-
prószony: a doprawdy szkoda, był to bowiem człek z gruntu dobry
i tak wesół, że mamusia nie nazywała go inaczej, jak *kotusiem*.
Na nieszczęście, kochał swą sztukę, pracował dużo, i pił toż samo.
To odbiło się na jego zdrowiu, a z czasem i na humorze: stawał się
drażliwy i łatwo obrażający się. Niezdolny do grubjaństwa ani
uchybień komu, nigdy nie powiedział złego słowa nawet chłopakom
z chóru; ale i jemu nie trzeba było uchybić: w czem miał słu-
szność. Złe było w tem, iż Mistrz, będąc nieco ciężkiego pojęcia,
nie umiał poznać się na tonie i na charakterach, i często uroił sobie
coś bez powodu.

Dawna kapituła genewska, w której tylu księząt i biskupów uważało sobie za zaszczyt zasiadać, straciła na wygnaniu pierwotną świetność, ale zachowała przywileje. Aby się do niej dostać, trzeba jeszcze teraz być szlachcicem albo doktorem Sorbony; sądzę zaś, że, jeśli jest duma godna przebaczenia (po tej, która opiera się na osobistej zasłudze), to z pewnością duma z urodzenia. Zazwyczaj, księża, jeśli mają na żołdzie ludzi świeckich którym dają zatrudnienie, poczynają sobie z nimi dość z góry. Tak i kanonicy traktowali często biednego Mistrza. Kantor zwłaszcza, nazwiskiem ksiądz de Vidonne, zresztą bardzo przyzwoity człowiek, ale zanadto nadęty szlachectwem, nie zawsze się doń odnosił ze względami do jakich prawo dawał mu talent: Mistrz zaś niechętnie cierpiał to lekceważenie. Tego roku, w wielkim tygodniu, zaszła między nimi żywsza niż zazwyczaj sprzeczka, a to z okazji tradycyjnego obiadu, który biskup wydał dla kanoników i na który Mistrza zawsze zapraszano. Kantor rzucił mu jakieś pogardliwe słowo, którego Mistrz nie mógł strawić. Postanowił uciec najbliższej nocy, i nic nie zdołało go wstrzymać, mimo iż pani de Warens, z którą poszedł się pożegnać, dokładała wszelkich starań aby go ułagodzić. Nie mógł sobie darować przyjemności pomszczenia się na swych tyranach, zostawiając ich w kłopotcie podczas świąt, w które to dni właśnie był im najpotrzebniejszy. Sam kłopotał się jedynie o nuty, które chciał zabrać z sobą, co nie było łatwe: była tego cała skrzynia, duża i ciężka, której nie można było unieść pod pachą.

Mamusia zrobiła to, co sam byhym zrobił wówczas i dziś jeszcze na jej miejscu. Po daremnych wysiłkach, widząc go, mimo wszystko, zdecydowanym, starała mu się, o ile mogła, przyjść z pomocą. Śmiem powiedzieć, iż było to jej obowiązkiem: poczciwy Mistrz zawsze był na jej usługi. Czy to w rzeczach swej sztuki, czy w innych grzecznościach, był we wszystkim na jej rozkazy i to z serdecznością która zdwajała cenę jego dohrych chęci. Było to zatem z jej strony jedynie odwdzięczenie w ciężkich okolicznościach przyjacielowi tego, co on robił dla niej w drobniejszych oka-

zjach od paru lat; ale dobre jej serce nie potrzebowało z pewnością szukać podniety w poczuciu obowiązku. Zawołała mnie, kazała mi towarzyszyć Mistrzowi przynajmniej do Lyonu i być na jego usługi tak długo, jak długo mnie będzie potrzebował. Wyznała mi później, że chęć oddalenia mnie od Ventury niemało przyczyniła się do tego postanowienia. Z Kludjuszem Anet, swym wiernym sługą, naradziła się co do skrzyni. Był on zdania, iż, zamiast najmować juczne zwierzę w Annecy, co by niechybnie zdradziło ślad, trzeba raczej, z zapadnięciem nocy, przenieść skrzynię w rękach kawał drogi; następnie zaś wynająć osła, aby ją przywieźć aż do Seyssel, gdzie będąc już na terytorjum francuskim, niczego nie potrzebujemy się obawiać. Usłuchaliśmy rady: wyruszyliśmy, tegoż wieczora, o siódmej; mamusia, pod pozorem opłacenia moich kosztów, zaopatrzyła nieco szczupłą sakiewkę *kotusia*, co, jak sądzę, bardzo mi się przydało. Kludjusz Anet, ogrodnik i ja, zanieśliśmy, z wielkim mozolem, skrzynię do najbliższej wsi, gdzie nas złuzował najęty osiołek; tej samej nocy powędrowaliśmy do Seyssel.

Zauważyłem, o ile mi się zdaje, że bywają okresy, w których tak jestem niepodobny do samego siebie, iż możnaby mnie wziąć za innego człowieka o wręcz przeciwnym charakterze. Zaraz dam przykład. Ksiądz Reydelet, proboszcz w Seyssel, był kanonikiem kapituły św. Piotra, tem samem znał Mistrza; był tedy człowiekiem, przed którym w tej chwili najbardziej powinien się być ukrywać. Ja wpadłem na koncept, aby, przeciwnie, iść prosto do niego, i, pod jakimś pozorem, poprosić o nocleg, tak jakbyśmy tu byli za zezwoleniem kapituły. Mistrzowi spodobał się ten pomysł, który zemście jego dodawał pieprzyk złośliwego figla. Idziemy tedy bezczelnie do księdza Reydelet, który przyjął nas bardzo dobrze. Mistrz powiedział mu, że wędruje do Bellay, aby, na życzenie biskupa, objąć część muzyczną w uroczystościach wielkanocnych i że, ze kilka dni, mamy nadzieję być z powrotem. Ja, na poparcie tego kłamstwa, nawiązałem setkę innych w sposób tak naturalny, iż ksiądz Reydelet, ujęty mą werwą i humorem, nabrał do mnie sympatji i okazywał

mi ją w tysiączne sposoby. Podjedliśmy smacznie, wyspali się jeszcze smaczniej. Ksiądz Reydelet nie wiedział wprost jak nas ugodzić; rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni, z przyrzeczeniem zatrzymania się dłużej w powrotnej drodze. Ledwie mogliśmy się doczekać chwili gdy się znajdziemy sami, aby się wyśmiać do syta; przyznaję, że dotąd jeszcze chce mi się śmiać gdy o tem pomyślę, trudno bowiem wyobrazić sobie lepiej i ze szczęśliwszym rezultatem odegraną psotę. Byłaby nam starczyła długo na zabawę, gdyby nie to, że Mistrz, nieustannie w czasie drogi zaglądnący do dzbanka, dostał dwa czy trzy razy swoich napadów, które nawiedzały go coraz częściej, a były bardzo podobne do epilepsji. To mnie sprawiło w wielkie przerażenie i wtedy już zacząłem myśleć, jakby się zrzęcznie wycofać z kłopotu.

Wędrowaliśmy do Bellay, aby tam spędzić święta Wielkiejnocy, jak to oznajmiliśmy księdzu Reydelet. Mimo że nas nie oczekiwano, znaleźliśmy u miejscowego kapelmistrza i wogóle u wszystkich najlepsze przyjęcie. Mistrz zażywał w swej sztuce wielkiego poważania, na które w zupełności zasługiwał. Kapelmistrz z Bellay wystąpił ze swemi najlepszemi dziełami i dokładał starań aby pozyskać uznanie tak dobrego sędziego: prócz tego bowiem że Mistrz znał się doskonale na rzeczy, sąd jego był zawsze wolny od zawiści jak i od pochlebstwa. Przerastał on o tyle wszystkich tych prowincjonalnych muzykusów, i oni sami czuli to tak dobrze, że uważali go nietyle za kolegę ile za swoją głowę.

Spędziwszy bardzo przyjemnie kilka dni w Bellay, wyruszyliśmy wreszcie i ciągnęliśmy dalej bez przypadków. Przybywszy do Lyonu, ulokowaliśmy się w Notre-Dame-de-Pitié. W oczekiwaniu skrzyni, którą, zapomocą innego kłamstwa, wyprawiliśmy Rodanem z pomocą naszego dobrego gospodarza, księdza Reydelet, Mistrz wybrał się odwiedzić znajomych, między innymi Ojca Caton, franciszkanina, o którym będzie mowa później, i księdza Dortan, hrabiego Lyonu. Jeden i drugi przyjęli go dobrze, ale zdradzili go, jak się pokaże: szczęście nasze wyczerpało się u księdza Reydelet.

W dwa dni po przybyciu do Lyonu, kiedyśmy przechodzili uliczką niedaleko oberży, Mistrz dostał nowego ataku, który tym razem był tak gwałtowny, iż przerażenie mnie ogarnęło. Zacząłem krzyczeć, wołać na pomoc, wskazałem oberżę błagając aby go tam zanieiono; następnie, gdy coraz większa ciżba gromadziła się koło człowieka leżącego bez życia i toczącego pianę na środku ulicy, opuścił go jedyny przyjaciel, na którego miał prawo liczyć. Skorzystałem z chwili, w której nikt na mnie nie zwracał uwagi; wykręciłem się na rogę i znikłem. Dzięki niebu, dopełniłem tego trzeciego ciężkiego wyznania. Gdybym miał jeszcze dużo podobnych przed sobą, raczej poniechałbym pracy którą podjąłem.

Wszystkie dotychczas skreślone zdarzenia zostawiły jakieś ślady w miejscach gdzie bawiłem; ale to co mam opowiedzieć w następnej księdze jest prawie zupełnie nieznané. Jest to okres największych szaleństw mego życia; całe szczęście, że nie skończyły się gorzej. Ale głowa moja, nastrojona wówczas na ton obcego instrumentu, wyszła, na jakiś czas, ze swego diapazonu. Wróciła doń później sama przez się; wówczas poniechałem szaleństw, albo raczej przeszedłem do innych, bardziej zgodnych z mą naturą. Z tej epoki mojej młodości zachowałem najmłodsze wspomnienia. Nic prawie w niej nie zaszło dość interesującego dla mego serca, aby mi żywo utrwalić jej szczegóły; trudno przytem, abym, wśród ciągłej włóczęgi, wśród tylu kolejnych wędrówek, nie pomieszał niekiedy czasu i miejsca. Piszę najzupełniej z pamięci, bez dokumentów, bez materiałów któreby mogły ją wesprzeć. Są wypadki w moim życiu, które mi są tak przytomne, jakby zdarzyły się wczoraj; ale są przerwy i próżnie, dla których wypełnienia muszę nieraz uciekać się do niemniej mętnych reakcyj. Mogłem tedy popełnić omyłki i mogę na przyszłość popełnić je w jakiej drobnotce, aż do okresu w którym mam co do siebie dokładniejsze informacje; ale co się tyczy samej treści, mam pewność że jestem wierny i ścisły: co do tego, czytelnik może mi zaufać.

Ledwie opuścił Mistrza, odrazu powziąłem postanowienie i ruszyłem z powrotem do Annecy. Niezwykłe okoliczności i tajemniczość naszego wyjazdu sprawiły, iż, z początku, bardzo byłem przejęty tą wyprawą; obecnie, uczucie przeważające w mem sercu odzyskało swoje prawa. Nic mnie nie obchodziło, nie nęciło, nie miałem innego pragnienia, jak tylko wrócić do mamusi. Tkliwość i szczerłość tego przywiązania wyrugowały z mego serca wszystkie fantastyczne projekty, wszystkie szaleństwa ambicji. Nie widziałem innego szczęścia, jak tylko być przy niej; z każdym krokiem jaki czyniłem, czułem że oddalam się od tego szczęścia. Wróciłem tedy najspieszniej jak mogłem. Powrót mój odbywał się tak szybko, a myśl była tak pochłonięta jego celem, że, mimo iż z taką przyjemnością przypominam sobie inne podróże, z tej jednej nie mam żadnych wspomnień: nie pamiętam literalnie nic, prócz chwili opuszczenia Lyonu i powrotu do Annecy. Zato ta ostatnia chwila, ach, niechaj czytelnik osądzi, czy mogła ulecieć z mej pamięci! Za powrotem, nie zastałem pani de Warens; wyjechała do Paryża.

Nigdy nie znałem dobrze sekretu tej podróży. Byłaby mi go wyznała, jestem tego najpewniejszy, gdybym bardzo nalegał; ale nie było chyba człowieka mniej ciekawego sekretów przyjaciół. Serce moje, pochłonięte terażniejszością, wypełnia nią całą swą pojemność, całą przestrzeń: oprócz minionych uciech, których wspomnienie stanowi teraz mą jedyną radość, niema w niem ani kącika wolnego na to co *nie jest*. Z paru słów, które mi mamusia rzekła, mogłem domyślić się jedynie, iż lękała się, aby, w zamęcie rewolucji spowodowanej w Turynie abdykacją króla, nie zapomniano o niej. Pragnęła, przy pomocy zabiegów pana d'Aubonne, zająć to samo stanowisko przy dworze francuskim; co, jak mi mówiła nieraz, bardziej przypadłoby jej do smaku, ile że obfitość toczących się tam ważnych spraw wyklucza możliwość tak czujnego dozoru. Jeśli to jest prawda, dziwne mi się wydaje, iż, wróciwszy stamtąd, nie doznała z tego powodu żadnych dokuczliwości i zawsze bez żąd-

nej przerwy korzystała ze swej pensji. Wielu mniemało, iż podróż ta miała za cel jakąś sekretną misję, bądź z ramienia biskupa, który miał wówczas sprawy na dworze francuskim i sam musiał nawet często tam jeździć, bądź ze strony kogoś potężniejszego jeszcze, kto jej zabezpieczył spokojny powrót. To pewna, że, jeśli tak było, posłanniczka nie była źle obrana i że, wówczas w pełni młodości i urody, posiadała wszystkie potrzebne talenty, aby się dobrze wywiązać z negocjacji.